Ewa Barańska

Stary zegar

Spis treści

AMBITNE PLANY 2
ZNÓW TEN NIEZNOŚNY MARECZEK 4
RYZYKOWNA DECYZJA 9
PRÓBA 12
PIERWSZE KŁOPOTY 16
MAJA 18
FELERNICY 23
TOR 26
WSTĘPUJĘ DO TAJNEJ ORGANIZACJI REALISTÓW 29
NINKA 34
DO CELU NA AZYMUT 37
NA POWIERZCHNI 43
ZNÓW W MIEŚCIE 46
NA TROPIE OLI I JURKA 49
JESZCZE JEDEN NOWOSIELSKI 54
WPADKA 62
STARY ZNAJOMY W NOWYM WYDANIU 65
OBMYŚLAM FORTEL 70
AD PRZEJMUJE INICJATYWĘ 73
NARESZCIE RAZEM 80
POWRÓT 83
EPILOG 89

AMBITNE PLANY

Rok szkolny miał się ku końcowi. Jak zawsze radość ze zbliżających się wakacji była ogromna, jednakże tym razem ową radość mąciła świadomość nieuchronnego rozstania z Olą, która po wakacjach musiała wrócić do Warszawy. Dobrze wiedziałem, że bez niej Leśniówka już nigdy nie będzie taka sama.

Na razie wszystko biegło po staremu. Nadal tworzyliśmy zgraną paczkę i świetnie się czuliśmy w swoim towarzystwie. Byliśmy przekonani, że wspólna tajemnica scementowała naszą przyjaźń na mur beton i do końca życia nic nie jest w stanie tą przyjaźnią zachwiać. Czas pokazał, że została ona poddana ciężkiej próbie, ale po kolei.

Życie wiejskich dzieci regulują dwa podstawowe czynniki: szkoła i pora roku. Od wiosny do zimy, poza nauką, mamy liczne obowiązki, niemniej zawsze pozostaje trochę wolnego czasu, wtedy jest najfajniej.

Najczęstszym, można by powiedzieć dyżurnym tematem naszych rozmów był zegar Hieronima, a właściwie jego nadzwyczajna zdolność przenoszenia ludzi w czasie. Każdy z nas miał pomysł na jakąś wycieczkę w przeszłość lub w przyszłość, lecz ja, jako właściciel zegara, ciągle się wahałem. Pierwsza wyprawa skończyła się co prawda szczęśliwie, lecz niewiele brakowało, a byłoby krucho. Na myśl, że mogliśmy zginąć gdzieś w zakamarkach historii i nikt, nawet Szerlok Holmes, nie wpadłby na nasz trop, powstrzymywała mnie przed uruchomieniem zegara.

Zresztą, ciągnęło nas nie tylko do przygód. Zadawaliśmy sobie coraz więcej pytań, na które nie znaliśmy odpowiedzi. Kiedyś w drodze ze szkoły, gdy mówiliśmy o zegarze, Marysia nagle spytała:

- Ciekawe jakby to było, gdybyśmy cofnęli się o jeden dzień? Czy wtedy spotkalibyśmy sami siebie z dnia wczorajszego?

- Pewnie tak – odpowiedział bez zastanowienia Maciek.

- A gdyby potem my z nami wczorajszymi, cofnęlibyśmy się o jeszcze jeden dzień, czy wtedy spotkalibyśmy nas przedwczorajszych?

-No właśnie! – podchwycił pytanie Wojtek. – A gdybym wczorajszemu sobie powiedział, jakie zadania zada mi dzisiaj Pitagoras przy tablicy, czy zniknęła by z dziennika pała, którą już dostałem?

- Najlepiej byłoby to sprawdzić – poradził Jurek po dłuższej chwili kłopotliwego milczenia, bo rzecz jasna nikt z nas nie znał odpowiedzi.

- Niechcący poruszyliście tak zwany „syndrom pradziadka". Astrofizycy, którym wyszło ze wzorów, że podróże w czasie są możliwe, próbowali wyjaśnić, co by się stało, gdyby ktoś cofnąwszy się w przeszłość zabił własnego przodka – powiedziała Ola.

- I do czego doszli? – zainteresowała się Marysia.

- Problem w tym, że do niczego. W każdym bądź razie, niczego pewnego.

- Sprawdźmy jak z tym jest i napiszmy na ten temat bardzo mądrą książkę naukową. Może dostaniemy nagrodę Nobla? Słyszałam, że wynosi ona milion dolarów. Mielibyśmy nie tylko pieniądze, ale i wieczną sławę, i szacunek na całym świecie – moja mała siostra nawet na tym polu dostrzegła możliwość ubicia interesu.

- Ciekawe, co powiedzą ludzie, gdy któregoś dnia w Leśniówce zjawi się tłum naszych sobowtórów – Michała tak rozśmieszyła taka możliwość, że omal nie pękł ze śmiechu.

- A niby z jakiej racji mielibyśmy tutaj wszystkich sprowadzać? – żachnęła się Marysia.

- Jak to? Musimy jakoś udowodnić teorię wyłożoną w tej naszej bardzo mądrej książce. Samo słowo honoru nie wystarczy, by ktokolwiek uwierzył, że rozwiązaliśmy problem, z którym nie poradziły sobie najtęższe mózgi świata. Tylko nasze powielone osoby będą niezbitymi dowodami.

Michał miał rację.

- To wykluczone, musielibyśmy zdradzić tajemnicę zegara Hieronima, a na to nie zezwala złożona i podpisana własną krwią przysięga – spróbowałem przeciąć te rozważania, ale niestety, temat był zbyt atrakcyjny, żeby o nim zbyt łatwo do niego zniechęcić.

- Można znieść obowiązek milczenia, jeżeli wszyscy wyrażą na to zgodę – zabrał głos Maciek, niepodważalny autorytet w dziedzinie zaprzysiężeń.

- Jeśli nawet tak jest, to ja i tak się nie zgadzam – powiedziałem stanowczo.

- Dlaczego, nie chcesz zarobić, a przy okazji załapać się na Nobla? – zdziwił się Wojtek.

- Czy sądzisz, że po ogłoszeniu takiej rewelacji, uczeni nie zechcą sprawdzić, jak działa zegar?

- Zegar jest twoją własnością, nie musisz go nikomu pokazywać? – upierała się przy swoim Marysia.

- Tak, ale wtedy nikt nie uwierzy, że możemy przenosić się w czasie – poparła mnie jak zwykle niezawodna w takich sytuacjach Ola.

- A nasze sobowtóry?

- Po pierwsze, nie wiadomo czy one po sprowadzeniu do czasu obecnego nie staną się nami, a po drugie nawet największe podobieństwa pomiędzy kilkoma ludźmi, nie są dowodami, że cofając się w czasie spotkamy samych siebie.

- Od tych kombinacji prędzej dostaniemy hopla z przerzutką, niż dojdziemy prawdy. Trzeba to po prostu sprawdzić a później myśleć, jak tą wiedzę zamienić na forsę i sławę – podniósł głos Wojtek.

Trudno było odmówić mu racji. A poza tym, czy to nie ciekawe, kogo zastanę w swoim własnym pokoju, gdy wysiądę na przystanku „Wczoraj”?

ZNÓW TEN NIEZNOŚNY MARECZEK

Uradziliśmy, że w najbliższą niedzielę po południu cofniemy się do dnia wczorajszego. Miała to być przy okazji podróż próbna, w czasie której mieliśmy doświadczalnie ustalić, z jaką prędkością mój zegar cofa czas. Wtedy moglibyśmy dokładnie lądować w dowolnym momencie przeszłości lub przyszłości. W następnej kolejności wyprawiłbym się, rzecz jasna, do czasów Hieronima, żeby wreszcie poznać jego tajemnicę..

Wyprawa do dnia wczorajszego wydawała nam się bardzo bezpieczna. Już w sobotę staraliśmy się tak rozplanować zajęcia, aby przez cały czas ktoś z nas przebywał w moim pokoju. Miało to zwiększyć prawdopodobieństwo spotkania nas „niedzielnych”, z nami „sobotnimi”

Niestety, niedzielny ranek przyniósł katastrofę, a było to tak. Koło dziesiątej przed naszym domem zatrzymał się samochód. Wysiadła z niego ciocia Hela, wujek Roman i... Marek. Nikt z nas nie spodziewał się tej wizyty, ale rodzice byli wyraźnie ucieszeni. Wyszli na ganek, żeby powitać gości, niestety, ich serdeczność spotkała się z ostentacyjnym chłodem. Idąca przodem ciocia Hela zignorowała wyciągnięte ręce mamy:

- Nie przyjechaliśmy w gościnę, tylko żeby się z wami rozmówić i wyrównać straty – powiedziała, i z czołem ponurym jak burza gradowa, energicznym krokiem weszła do domu. Za nią z głupim uśmieszkiem, żując gumę, podążył Marek. Wujek Roman mruknął tylko coś niewyraźnie, podniósł maskę samochodu i zaczął grzebać w silniku. Tata podszedł do niego, żeby mu pomóc, i pewnie przy okazji po bratersku spytać, co jest grane.

Tymczasem mama, robiąc dobrą minę do złej gry, ciocię z Markiem zaprosiła do stołu, a dziewczętom poleciła podać kawę i ciasteczka.

- Daruj sobie te uprzejmości, załatwimy, co mamy do załatwienia i wyjeżdżamy – ciocia Hela nieubłaganie demonstrowała zły humor.

Dokładnie w tej chwili wszedł tata z wujkiem Romkiem.

- Jeżeli o mnie chodzi, to bardzo chętnie się napiję – powiedział wujek unikając piorunujących spojrzeń żony.

- Już się robi, a ciotuchna pewnie woli herbatkę z soczkiem malinowym – stwierdziła ze słodziutkim uśmiechem Ola i nie czekając na odpowiedź, poszła do kuchni pociągając za sobą Marysię.

Przez chwilę panowała przykra cisza, której nikt nie śmiał pierwszy przerwać. Dopiero kiedy na stole pojawiły się filiżanki i taca z pierniczkami, tata spytał bez ogródek:

- Więc, o co chodzi?

Reakcję cioci Heli można porównać tylko do beczki z prochem, na którą spadła zapalona zapałka.

- Jak to o co?! O kradzież! O ohydną podstępną kradzież! O wykorzystanie naiwności i dobrego serca niewinnego dziecka! A to wszystko za moją życzliwość...

Mama wyglądała jak uosobienie osłupienia, tata lustrował nas nie wróżącym niczego dobrego wzrokiem, z czego wynikało, że został już uświadomiony przez wujka Romana. Tylko ja ciągle nie wiedziałem, o co chodzi, chociaż w mojej głowie już kiełkowało okropne przeczucie. Spojrzałem na Olę i Marysię, lecz z ich twarzy niczego nie mogłem wyczytać. Przynajmniej niczego niepokojącego.

- Helu, wyrażaj się jaśniej, jeśli łaska – spokojny i stanowczy głos mamy przerwał gniewną tyradę. Ale tylko na chwilę. Ciocia poczerwieniała jak piwonia i z prędkością karabinu maszynowego zaczęła wyrzucać z siebie nagromadzone pretensje.

Nie sposób ich wszystkich powtórzyć w słowo w słowo, ale w wielkim skrócie chodziło o to, że ukradliśmy im drogocenną rodzinną pamiątkę, która została w testamencie zapisana wujkowi Romanowi przez jego rodzonego ojca.

Mama nie chciała dać wiary tym oskarżeniom, przynajmniej tak od razu.

- Niby kiedy mieli dokonać tej kradzieży?

- W zeszłym roku, gdy przyjechali zaprosić nas na święta – w jej głosie wyczułem wahanie. Mama chyba też, bo broniła nas dalej:

- O ile sobie przypominam, a pamięć mnie nie zawodzi, dzieci przywiozły wtedy tylko szatkownicę, a zegar Adaś dostał od dziadka w prezencie na mikołajki. Zresztą, dziadek może to potwierdzić.

- Może to jest nie nasz zegar? – wujek Roman próbował jakoś rozładować napięcie.

- No właśnie, może to zwykłe nieporozumienie? – poparła go mama.

- Sprawdźmy – zaproponował Marek.

- Oczywiście, sprawdźmy – podchwyciła skwapliwie ciocia najwidoczniej pewna swego.

- To najrozsądniejsze, obejrzymy przedmiot sporu – uprzedzając mnie, tata wstał i poszedł do mojego pokoju. Wrócił po chwili stawiając zegar na stole.

- No proszę, to niewątpliwie nasza własność – zawołała uradowana ciocia Hela. – Mareczku, zanieś go do samochodu. Natychmiast wyjeżdżamy.

Mareczek skwapliwie zerwał się i złapał za zegar. Zareagowałem od razu:

- Po moim trupie – przewracając krzesło, pochwyciłem zegar z drugiej strony.

Przez chwilę mocowaliśmy się, ale żaden z nas nie zamierzał ustąpić. Zdesperowany, walnąłem Marka pięścią w nos. On zaś w odwecie tak mnie grzmotnął w ucho, że aż usłyszałem wszystkie dzwony świata. Szarpiąc się i tarmosząc wytoczyliśmy się zza stołu i z wielkim łomotem upadliśmy na podłogę. Było to, niestety, ponad wytrzymałość starego zegara, który pękł w kilku miejscach. Uzyskałem przewagę i zamierzałem z niej skorzystać bez litości. Siedziałem na Marku okrakiem i dusząc go lewą ręką, okładałem prawą pięścią. Tymczasem rodzice zdążyli już ochłonąć z zaskoczenia i rzucili się, aby nas rozdzielić.

Powstało niebywałe zamieszanie. Na szczęście Marysia przytomnie pozbierała części zegara, a Ola pobiegła po dziadka.

Marek oberwał trochę mocniej niż ja, lecz reakcja dorosłych była absolutnie niewspółmierna do wyniku tej walki. Tata z wujkiem przenieśli Marka ostrożnie na kanapę, bo ten leżał na podłodze jak ciężko ranny wojownik spod Troi. Mama zrobiła mu na czoło zimny okład, a ciocia, załamując ręce, lamentowała, jak w prawdziwej greckiej tragedii.

Na mnie nikt nie zwracał uwagi, może dlatego, że Marek miał całą twarz upaćkaną krwią, a mojego dzwonienia w uchu, poza mną, nikt nie słyszał.

Obiektywnie rzecz biorąc zareagowałem skandalicznie i doskonale wiedziałem, że nie ujdzie mi to na sucho. Miałem przechlapane na amen. Jak znam życie, czekała mnie teraz intensywna „obróbka wychowawcza", ale to drobiazg z bólem, jaki czułem z powodu zniszczenia zegara. Myśl, że mógłby na zawsze stracić swoje niezwykłe właściwości, była porażająca.

W drzwiach stanął dziadek z kawałkami zegara pod pachą. Jego przybycie wszyscy przyjęli z ulgą, chociaż każdy z innego powodu.

- Co to za awantura? – spytał na widok niezwykłej sceny.

- Och! To okropne, to okropne, zostaliśmy okradzieni i pobici – pierwsza z wyjaśnieniami pośpieszyła ciocia Hela. Jeszcze raz powtórzyła wszystkie pretensje, z którymi przyjechała. Na zakończenie dodała: - Chcieliśmy sprawę załatwić kulturalnie, ale on – wskazała na mnie - zamiast przyznać się do winy, zachował się jak ostatni łobuz. Ciężko pobił Mareczka.

- I dobrze zrobił – powiedział niespodziewanie dziadek.

Po tych słowach zapadła taka cisza, że słychać było muczenie krów pod lasem. Z niemym zdziwieniem jedni spoglądali na drugich i nikt nie śmiał nawet pisnąć. Tymczasem dziadek Podszedł do Marka i wskazując na zegar, spytał surowo:

- Czy jesteś pewien, że to wasz?

- Oczywiście. Sta... rodzice mogą zaświadczyć, nawet pod przysięgą – rzucił mi wyzywające spojrzenie.

- W takim razie jak wytłumaczysz fakt, że ta cenna rodzinna pamiątka została wystawiona do sprzedaży w rzeszowskiej Desie? - mówiąc te słowa dziadek wyciągnął z kieszeni rachunek i podsunął Markowi przed oczy.

Ten zrobił minę, jakby właśnie połknął muchę.

- Niedobrze mi – złapał się za brzuch i wybiegł z pokoju.

- Przestań się zgrywać – zawołałem za nim, ale nie zareagował.

- Mało brakowało, a przez tego nicponia Marka, zegar przepadłby na zawsze – ciągnął dalej dziadek. – Przypadek sprawił, że go odzyskałem dla naszej rodziny. Przez sześć pokoleń zegar był w naszej rodzinie i nikomu nie przyszło do głowy, żeby nie uszanować ostatniej woli Hieronima, potem jego potomków a naszych przodków. Dopiero ten utracjusz[1] wszystko popsuł. Na szczęście Adaś jest inny, jestem pewien, że podtrzyma rodzinną tradycję

- To nie Mareczek lecz jego kolega, który pożyczył zegar, okazał się nicponiem i...

- Hela, daj spokój... – przerwał jej wujek.

- Co? Spokój? Ten zegar znalazł się w Desie bez naszej wiedzy.

- Przecież ciocia mówiła, że miała go wyrzucić na śmietnik – przypomniała Marysia.

- Tak, ale nie wiedziałam nic o skarbie. Mareczek zresztą też nie.

- Jaki skarb? – mama i tata popatrzyli na mnie jakby wyrosły mi rogi, albo jeszcze coś gorszego. Już otworzyłem usta, aby rzecz jasna wszystkiemu zaprzeczyć, ale ubiegł mnie dziadek:

- Trzeba było od razu mówić, że nie chodzi wam o żadną rodzinną pamiątkę, tylko pieniądze, wtedy z pewnością zegar zachowałby się w całości. Nie ma żadnego

[1] Utracjusz – człowiek rozrzutny, lekkoduch.

skarbu, przynajmniej w zegarze. A swoją drogą ciekaw jestem, skąd wam taka niedorzeczność przyszła do głowy?

- Oczywiście, że w zegarze nie ma worka ze złotem, ale są wskazówki, jak do niego trafić – powiedziała ciocia wyraźnie urażona słowami dziadka.

Nie ma sensu przytaczać dalszej dyskusji na ten temat. W każdym razie, przyciśnięty do muru opowiedziałem, jak to po wycieczce do Łańcuta odczytaliśmy napis na portrecie przodka Hieronima i jak kierowani ciekawością zainteresowaliśmy się zegarem. Rzecz jasna ani jednym słowem nie wspomniałem o Tajemniczym Związku Poszukiwaczy Skarbów, ani o prowokacji na cmentarzu, ani tym bardziej o podróży w czas przeszły. Za to bez najmniejszych skrupułów wsypałem Marka. Wygadałem jak to z pewnym kudłaczem w ciemnych okularach przehandlował zegar na płytę, a potem mnie namówił, abym skłamał, że tego kudłacza nie zastaliśmy w domu.

- Ale Mareczek przysięgał, że w zegarze są wskazówki jak odnaleźć skarb. Należymy do rodziny i nie powinniśmy być pominięci przy jego podziale.

- Hela, skończ już z tym skarbem. Czy nie widzisz, że nasz syn łże jak najęty? Było dokładnie tak, jak opowiedział Adaś. Kiedy któregoś dnia zapytałem o zegar, Marek kręcił, mataczył, aż wreszcie nie mając innego wyjścia, przyznał, że to Adam, Ola i Marysia wyłudzili zegar, bo rzekomo dowiedzieli się, że jest w nim jakaś tajemnicza mapa, na której jest zaznaczony ukryty skarb. Przepraszam was za to całe zamieszanie.

Nasza koronkowa intryga odbijała się czkawką. Niewiele brakowało, a rodzina nabrałaby podejrzeń, że coś ukrywamy. Na szczęście Marek siedział zamknięty w łazience, a Ola z Marysią wspierały mnie jak mogły. Tak więc cała awantura skończyła się pomyślnie. Nie mówię rzecz jasna o zegarze, którego stan przedstawiał się tragicznie.

RYZYKOWNA DECYZJA

Goście wyjechali, i pomału wszystko wracało do normy. Mam rzecz jasna na myśli życie rodzinne, bo jak przewidywałem, rodzice zadali nam jeszcze wiele pytań.

Największe pretensje miała do mnie mama za pobicie Marka. Zauważcie: pobicie! Wyszło na to, że ja go tłukłem jak worek treningowy, a on nic. Ani mru-mru. Nie dość, że jeszcze przed wyjazdem musiałem go przeprosić, to jeszcze wysłuchałem godzinnej tyrady na temat gościnności. Zdaniem mamy goście, jacy by oni nie byli, muszą być traktowani uprzejmie, gdyż to świadczy o kulturze gospodarzy i nie ma wyjątków od tej reguły. Koniec, kropka, a nawet trzy wykrzykniki. Moje zdanie w tej materii w ogóle nie miało żadnego znaczenia.

Wszystko to dało się jakoś przetrwać, jednak gorzej było z zegarem. Po szczegółowych oględzinach okazało się, że pękła w dwóch miejscach obudowa, obluzowała się mała wskazówka i wyskoczyła sprężyna. Dziadek zawiózł zegar do swojego znajomego zegarmistrza z Dukli, który go naprawił tak, że na pierwszy rzut oka nie było śladu po uszkodzeniach. Zewnętrznych, rzecz jasna, bo czy nadal działa mechanizm cofający czas, mogliśmy sprawdzić tylko doświadczalnie.

Jak zwykle zebraliśmy się w moim pokoju. Mieliśmy podjąć ważną decyzję: czy ryzykować następną podróż?

- Oczywiście, że musimy spróbować – pierwszy głos zabrał Jurek. – Inaczej nigdy się nie dowiemy, czy w ogóle jest to możliwe.

- A jeżeli mechanizm się popsuł? – spytała Marysia.

- Wtedy nie zadziała.

- Och, nie o to mi chodzi.

- A o co?

- Co będzie, jeżeli nie będziemy mogli się zatrzymać, albo gdy się zatrzymamy, wrócić?

- A co będzie, jeżeli mechanizmowi nic się nie stało, a my ze strachu zrezygnujemy z podróży w czasie? - nie ustępował Jurek.

On jeden z wtajemniczonych, przez przypadek oczywiście, nie załapał się na niezamierzoną wycieczkę do siedemnastego wieku, i teraz koniecznie chciał to nadrobić. Nie doceniał niebezpieczeństwa, ale niewątpliwie miał rację. Należało sprawdzić, czy mechanizm zegara działa.

- Przejadę się i sprawdzę – postanowiłem.

- Sam? – zdziwili się wszyscy.

- No jasne. W ten sposób ograniczymy ryzyko do minimum.

- Jadę z tobą – zadeklarowała się Ola.

- My też – zawtórowali jej pozostali.

- Wykluczone, podróż próbną odbędę sam.

Rozpętała się gwałtowna dyskusja. Każdy chciał jechać, każdy na poparcie swojej decyzji miał jakieś argumenty i nikt nie chciał ustąpić.

- Ciągnijcie losy – zaproponowałem, bo nic nie wskazywało, że dojdzie do jakiegokolwiek kompromisu.

Ponieważ prawdopodobieństwo wylosowania szczęśliwego losu było jak jeden do sześciu, wszyscy zgodnie zaprotestowali, lecz nikt nie wysunął lepszej propozycji. Każdy chciał jechać i już.

- Posłuchajcie, próba będzie trwała najwyżej pięć minut. Cofnę się o jeden dzień i zaraz wrócę. Jeżeli mechanizm działa jak należy, natychmiast zorganizujemy następną wycieczkę.

- Popieram cię, ale uważam, że ze względów bezpieczeństwa, ktoś powinien ci towarzyszyć. Najlepiej jeżeli to będę ja – obstawała przy swoim Ola.

- Daj spokój, co mi się może stać? Wczoraj nie było nawet deszczu – zaprotestowałem wiedząc, że jeżeli zrobię dla Oli wyjątek, dyskusja rozpocznie się od nowa.

- A jeżeli zamiast zatrzymać się w dniu wczorajszym, cofniesz się do wspólnoty pierwotnej, albo jeszcze dalej? Uważam, że we dwoje będzie lepiej.

- Dlaczego we dwoje, a nie troje? – obruszył się Michał.

- Albo we czworo – dorzucił Wojtek.

Spór rozpoczął się od nowa. Ostatecznie po długiej dyskusji stanęło na tym, że pojedziemy w trójkę: Ola, Jurek i ja. Byliśmy pewni powodzenia, ale przezornie przygotowaliśmy się na wypadek nieprzewidzianych trudności, to znaczy mniej więcej tak, jak na kilkudniową wycieczkę w góry. Ja dodatkowo jeszcze w ostatniej chwili wcisnąłem do plecaka kompas, o którym wcześniej nikt nie pomyślał, wszak wędrówka w czasie miała ograniczać się do okolic Leśniówki, a te znaliśmy przecież na pamięć.

Najważniejsze jednak było żeby odpowiednio zabezpieczyć zegar przed przypadkowym uszkodzeniem. Chociaż wszyscy przekonywali mnie, że w ciągu jednego dnia nic złego nie może się przytrafić, zbiłem ze sklejki skrzynkę, wyłożyłem ją gąbką. Jednak nawet wtedy wahadło wewnątrz zegara telepało się na wszystkie strony, więc zdjąłem tarczę wahadła i umieściłem w pudełku po landrynkach. Straciłem przez to w plecaku dużo miejsca, zwiększyłem jego ciężar, ale byłem spokojny o los zegara.

PRÓBA

Tym razem na start wybraliśmy rozległą leśną polanę. Ola, Jurek i ja usiedliśmy na jej środku, pozostali obserwowali nas z bezpiecznej odległości.

Trzymając zegar na kolanach, ustawiłem wskazówki i rozkręciłem tarczę wahadła. Galaretowata masa opalizowała tęczowo. Wyglądało, że wszystko jest w najlepszym porządku, ale poczułem w sercu ukłucie niepokoju. Jednak za późno było na zmianę decyzji.

- No to ruszajmy – powiedziałem nieswoim głosem.

- Ruszajmy – jak echo powtórzył Jurek wyciągając przed siebie rękę ze stoperem.

Spojrzałem ku tym, którzy nie zabierali się z nami. Stali milcząco między drzewami. Marysia płakała.

- Nie martwcie się, najpóźniej za kwadrans będziemy z powrotem – zawołałem w ich kierunku, po czym już całkiem cicho powiedziałem – „start" i dotknąłem galaretowatej masy, Jurek włączył stoper.

Nagle słońce, jak smagnięte batem, ruszyło z impetem przez niebo i w ciągu kilku sekund skryło się za drzewami. Oho, coś było nie tak. Zamiast w przeszłość, przenosiliśmy się w przyszłość.

Zapadła nieprzenikniona ciemność. Miałem wrażenie, że siedzimy kominie, bo przecież nawet w najczarniejszą noc firmament nie jest czarny jak sadza.

- O rany Julek, co się dzieje? Czy tak ma być? –zaniepokoił się Jurek.

- Prawdę mówiąc ostatnim razem było inaczej, lecz na podstawie jednego przypadku niczego nie można uogólniać – uspokoiła go Ola.

- Nic nie widać. Zaświecimy latarkę, czy czekamy, aż się rozjaśni? - spytał Jurek.

- Zaświećmy latarkę – zdecydowałem niepewnie.

- Lepiej nie, przecież latarka jest w twoim plecaku, który masz na plecach a trzymasz w ręku wahadło z otwartą puszką. Gdybyś nie daj Boże wsadził do niej palec, albo upuścił ją na ziemię, to nawet nie chcę przypuszczać, co z tego mogłoby wyniknąć. Lepiej zamknijmy puszkę i zatrzymajmy stoper, i dopiero wtedy szukajmy latarki.

Rozumowanie Oli było oczywiście bardzo logiczne, więc bez zbędnej dyskusji przyznaliśmy jej rację. Na dany znak, Jurek zatrzymał stoper, a ja zatrzasnąłem puszkę wahadła. Wtedy stała się rzecz dziwna. Na wschodzie pojawiła się czerwono pomarańczowa poświata, która falą przetoczyła się przez nieboskłon, za nią jak rzucony zza horyzontu kamień wyleciało słońce, sięgnęło zenitu i tam znieruchomiało.

Nadal otaczał nas las, tylko, że był to las metalowych i betonowych słupów, między nimi kłębiły się poplątane zwoje drutu, pogięte blachy, rury, siatki, szkielety jakichś pojazdów, resztki murów i nie wiadomo czego jeszcze. Jedynie wokół nas w promieniu najwyżej dwóch metrów zieleniła się leśna trawa, rosły jakieś krzaczki, a nawet latał kolorowy motyl. Krotko mówiąc wraz z kawałkiem polany trafiliśmy na wysypisko śmieci, albo w najlepszym wypadku – składnicę złomu.

- O rany, czy to na pewno jest okolica Leśniówki? – pierwszy ochłonął Jurek.

- Pewnie tak, ale wątpię czy z bardzo bliskiej przyszłości – odpowiedziała mu Ola.

Miała rację, tu otoczenie wyglądało jak ruiny jakiejś zaginionej cywilizacji betonu i stali.

- Ile czasu minęło? – zwróciłem się do Jurka.

Spojrzał na stoper.

- Siedem minut.

- Dziwne, ostatnim razem w ciągu mniej więcej piętnastu minut cofnęliśmy się prawie trzysta lat. Teraz, postępując tak samo, w ciągu siedmiu minut skoczyliśmy Bóg raczy wiedzieć gdzie. Nie możemy być pewni czy przenieśliśmy się w czasie, czy w przestrzeni. A może jedno i drugie – podsumowała rzecz całą Ola.

Najgorsze w tym wszystkim było, że nie wiedzieliśmy, czy wynikło to z nieznanych dotąd właściwości zegara, czy z jego usterki. Pewnie wszyscy zadawali sobie podobne pytanie, jednak nikt nie wyraził go głośno. Jurek nawet powiedział:

- Żeby się dowiedzieć, musimy sprawdzić.

Zapakowałem zegar do plecaka i ruszyliśmy w kierunku, gdzie w naszych czasach leżała wioska. Teraz, jakkolwiek to miejsce się nazywało, w ogóle nie przypominało Leśniówki. Widok, jak wszędzie, był podobny – ruiny i poskręcane żelastwo.

Klucząc dotarliśmy wreszcie do drogi, o ile drogą można nazwać wąską ścieżkę wijącą się wśród tego złomowiska. Wtem zza zakrętu wyszła obejmująca się para. Stanęliśmy jak wryci. Napotkani wyglądali jak nędzarze. Postrzępione szmaty, służące im za ubranie były tak dziurawe, że właściwie mogliby chodzić na golasa. Stopy mieli poobwijane kawałkami dermy, folii, sznurkami i nie wiadomo czym jeszcze, lecz najbardziej dziwiło ustrojstwo, jakie nosili na oczach. Przypominało skrzyżowanie opaski z okularami, tylko w miejscu szkieł miało ciekłokrystaliczne wyświetlacze pulsujące kolorowymi światełkami. Oboje byli mniej więcej w naszym wieku i, co najważniejsze, przyjaźnie uśmiechnięci.

- Hej – powitali nas z uśmiechem.

- Hej – odpowiedzieliśmy zgodnym chórem.

Nasze osoby nie wzbudziły w nich ani żadnego zaciekawienia, ani tym bardziej niepokoju. Spokojnie poszli swoją drogą, my zaś swoją.

- To pewnie jacyś bezdomni, którzy żyją na wysypiskach śmieci – skwitował Jurek. – Ciekaw jestem, po co im na oczach takie „dyskoteki"?

- Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, aby o to pytać, bo jeszcze wezmą nas za ćwoków nie obeznanych z aktualną – ostrzegła go Ola.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, gdy naprzeciw wyszła para staruszków. Byli tak samo obdarci jak tamci młodzi, i tak samo mieli na oczach, jak to określił Jurek, dyskoteki, również pozdrowili nas uprzejmym „hej" i poszli dalej.

Minęliśmy jeszcze dwa zakręty i wyszliśmy... na miasto. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się odrapane rudery dziurawe jak plastry miodu, z tym, że budowle pszczół zachwycają ładem i precyzją. Tu nie było ani jednego, ani drugiego. W przestrzeniach między tymi domami-ruinami panował dość ożywiony ruch. Wszyscy przechodnie, podobnie jak spotkane wcześniej pary, nosili łachmany i mieli na oczach świecące kolorowo przepaski.

- Pii pii pip – usłyszeliśmy tuż za naszymi plecami.

Odwróciliśmy się gwałtownie i zobaczyliśmy jakiegoś osobnika z powykręcaną miedniczką w obu dłoniach i przechyloną na bok głową.

- O co chodzi? – spytałem.

- Czemu stoicie na środku jezdni? Chcecie, żebym was rozjechał?

- Przepraszamy – odsunęliśmy się na bok.

- Nic nie szkodzi. Hej! Brum brum brrr – wyprostował głowę i, naśladując głos pracującego silnika, pobiegł dalej.

- Jeżeli rzeczywiście jesteśmy w przyszłości, to z przykrością stwierdzam, że nasza Leśniówka skończyła jako wariatkowo - zauważył posępnie Jurek.

Nikt mu nie zaprzeczył.

- Spróbujmy się połapać, czy obowiązują tu jakieś zasady – zaproponowała Ola.

Stanęliśmy pod murem i obserwowaliśmy otoczenie. Rzeczywiście, już po chwili poczyniliśmy spore spostrzeżenia. Wszystkie dziury w ruderach były zasiedlone. Lokatorzy na wyższe piętra wspinali się, nie uwierzycie, po sękatych żerdziach, albo wręcz linach powiązanych w grube supły. Gdzieniegdzie można było dostrzec sfatygowaną drabinę, a już do rzadkości należały schody. Zarówno żerdzie, liny, drabiny jak i schody oblepiał taki brud, że na pierwszy rzut oka nie można ich było dostrzec na tle parchatych murów.

Na parterach, znajdowały się nieco większe dziury, nad którymi bądź kredą na murze, bądź na tekturowych arkuszach, widniały informacji w stylu: Sklep

Wszystko Mający, Posiłkownia „Luks”, Elegantnia dla panów, Fryzurownia dla pań, Zabawownia „Chichy-Śmichy”, Medalownia... Próbka polszczyzny z tych swoistych szyldów dawała mi namacalny dowód, że język podlegał ewolucji nie tylko w przeszłości.

Ruch na ulicach również podlegał ustalonym zasadom. Bokami poruszali się piesi, środkiem też piesi, tylko że biegiem. Ci ostatni trzymali w rękach jakieś kółka, blaszane miski, obręcze a nawet zwykłe pręty i powarkiwali lub trąbili udając pojazdy mechaniczne. Niewątpliwie różnych marek.

- Nigdy bym nie uwierzył, że zobaczę tylu świrów w jednym miejscu – Jurek najwyraźniej dość już miał obserwacji. – Zjadłbym coś. Jestem bez obiadu.

- Proponuję luksusową posiłkownię – parsknąłem śmiechem. Szczerze mówiąc chętnie zaglądnąłbym do jakiejś restauracji, chociaż wątpię, czy miałbym na cokolwiek apetyt.

- Nie zawracajmy sobie głowy jedzeniem. Sprawdźmy datę i wracajmy do naszych czasów, bo jeszcze oblezie nas jakieś robactwo – powiedziała poważnie Ola.

PIERWSZE KŁOPOTY

- Hej! Jaki dziś dzień? – spytałem przechodzącego obok nas chłopaka. - Hej! Słoneczny – odpowiedział uśmiechając się szeroko.

- Chodzi mi o datę. Spojrzał na przegub prawej ręki, na którym miał wytatuowany rysunek nieudolnie udający zegarek.

- Trzydziesty czwarty szóstek.

- Co? – nieopatrznie wyraziłem swoje zdumienie, które ten wziął za niedowierzanie.

- No tak, dokładnie trzydziesty czwarty szóstek – upewnił mnie jeszcze raz rzucając okiem na „zegarek”.

- A rok?

- Sześćset pięćdziesiąty.

- Dziękuję.

- Pamiętnica ci się zacięła? – zainteresował się uprzejmie.

- Aha – przytaknąłem, nie mając pojęcia o co chodzi.

- Wezwać naprawnika?

- Dziękuję, poradzę sobie.

- No to hej!

- Hej!

- Zrozumieliście z tego coś? – spytałem Olę i Jurka, gdy zagadnięty przez nas chłopak się oddalił.

- Ani w ząb – przyznali zgodnie.

- Pal sześć pamiętnicę i naprawnika. Ale co to za data: trzydziesty czwarty szóstek sześćset pięćdziesiąty rok?

- Może przy liczeniu używają skrótów? Gdy na przykład w naszych czasach ktoś powie, że Pierwsza Wojna Światowa wybuchła w czternastym roku, to wszyscy wiedzą, że chodzi o 1914 rok – Jurek na poczekaniu próbował znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Jeśli tak jest, to i tak nie wiemy, jakie cyfry z przodu zostały ominięte. Jedynka, zależnie od miejsca w szeregu, może znaczyć i tysiąc, i dziesięć tysięcy lat. A już trzydziesty czwarty szóstek to czarna magia – zauważyła sceptycznie Ola. - Szóstek od biedy mógłby być czerwcem, ale trzydzieści cztery, które jest prawdopodobnie kolejnym dniem miesiąca, dowodzi, że zmienił się kalendarz.

- To co robimy?

- Przejdźmy się kawałek, może gdzieś dalej natrafimy na jakiś kiosk z gazetami.

- Jeżeli tutejsze gazety są podobne do tutejszych zegarków, to wątpię, czy po ich lekturze będziemy dużo mądrzejsi – wyraziłem swój sceptycyzm.

- Może przez te „dyskoteki", które oni noszą na oczach, wszystko wygląda inaczej? – Ola spojrzała na nas pytająco.

- Myślisz, że to nie jest moda, tylko coś w rodzaju wirtualnych okularów? Przecież do licha jest niemożliwe, aby tylu ludzi, w tak doskonałych humorach, żyło na takim potwornym śmietniku.

- Nie sądzę, ale sprawdźmy – zaproponował Jurek.

- Aha, tylko jak?

- Są uprzejmi, może nam pożyczą? Spróbujmy.

Pomysł wydawał się prosty. Przez chwilę obserwowaliśmy przechodniów wypatrując kogoś odpowiedniego. Prawdę wszyscy, pomimo łachmanów, wyglądali super sympatycznie i trudno było się zdecydować. Wreszcie uwagę naszą zwróciła jasnowłosa dziewczyna. Niosła w ręku wiązankę połamanych badyli, na których dyndało kilka przywiędłych liści. Od czasu do czasu podnosiła ten okropny bukiet do twarzy i wąchała z wyraźną przyjemnością.

- Założę się Adaś, że jesteś w jej guście. Pogadaj z nią – Ola popchnęła mnie lekko w kierunku mijającej nas blondynki.

- Co mam jej powiedzieć? – zaparłem się. Uważałem, że Jurek jest bardziej komunikatywny niż ja, i jemu powinna przypaść rola podrywacza, lecz zanim zdążyłem wyłuszczyć swoje racje, zostałem popchnięty tak, że omal nie straciłem równowagi.

MAJA

Chcąc nie chcąc ruszyłem za oddalającą się dziewczyną. Ola z Jurkiem podążali moim śladem. Kiedy odwracałem głowę, dawali mi znaki, abym się nie ociągał, lecz ciągle brakowało mi odwagi. Wtem dziewczyna przystanęła przed jakąś kałużą, w której tkwiła sucha gałąź. Stanąłem obok niej, ale najwyraźniej tego nie zauważyła.

- Hm – chrząknąłem, żeby zwrócić jej uwagę.

Odwróciła rozanieloną twarz w moją stronę. Wyglądała na przyjaźnie zainteresowaną.

- Hej – powiedziałem, byle coś powiedzieć.

- Hej – odpowiedziała z uśmiechem.

- Piękne kwiaty – zaryzykowałem komplement wskazując na badyle w jej rękach.

- Moje ulubione, cyklameny.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

- Mam na imię Adam – przedstawiłem się. – A ty?

- Maja.

- Ładnie – na tym wyczerpałem pomysły na konwersację. Kątem oka widziałem, jak Ola z Jurkiem, niby to przypadkiem, podeszli tak blisko, że mogli słyszeć każde nasze słowo. To jeszcze bardziej spotęgowało moją tremę. Stałem jak kołek w płocie. Na szczęście Maja miała wyraźną ochotę podtrzymać rozmowę.

- Mieszkasz w pobliżu? –spytała.

- Tak... niedaleko stąd – o dziwo, była to prawda.

- Od dawna?

- Od urodzenia. A ty?

- Dopiero od dwóch dni wynajmuję mieszkanie przy Alei Pataszona, ale wcześniej często tu bywałam. To cudowne miejsce. Prawda?

Normalnie rozmawiając z kimś widzi się oczy, które swoim wyrazem potwierdzają słowa, albo im przeczą. Tu pulsujące kolorowymi światełkami w miejscu oczu okienka, wprawiały mnie w zakłopotanie.

Gorączkowo poszukiwałem pretekstu, aby jakoś przejść do sedna sprawy i poruszyć wreszcie temat tych idiotycznych „dyskotek", lecz moja głowa ziała intelektualną pustką. Potwierdzało się moje przekonanie, że nie nadaję się do załatwiania takich spraw. „Dałem się wpuścić w maliny jak ostatni przygłup" – uświadomiłem sobie, lecz to ani na jotę nie poprawiło mojej sytuacji.

- Tak, to piękne miejsce – przyznałem bez entuzjazmu.

- Pospacerujemy, czy wolisz stać przy fontannie?

„Aha, więc ta kałuża z uschniętym „habaziem" to jest fontanna" – zakonotowałem nie bez zdziwienia w pamięci, usiłując zachować minę, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem.

- Pospacerujmy.

- Świetnie, gdzie idziemy?

W tych warunkach nie było mowy o improwizacji. Musiałem natychmiast coś wymyślić. I wymyśliłem:

- Wiesz, muszę ci się do czegoś przyznać. Ja co prawda stąd pochodzę i tutaj mieszkam, ale przez bardzo długi okres przebywałem gdzieś indziej i...

- Rozumiem, byłeś hibernowany.

Nie miałem rzecz jasna pojęcia na czym owo hibernowanie polega, lecz skoro ono cokolwiek tłumaczyło, nie widziałem powodu żeby zaprzeczać. Skinąłem głową.

Ruszyliśmy spacerkiem wzdłuż ulicy. Co jakiś czas musieliśmy omijać sterty wszelkiego rodzaju odpadków, uważać, żeby nie potknąć się o krzywe płyty chodnika, wyrwy, wystające rury, druty i najróżniejsze zawalidrogi. Maja, jakby tego wszystkiego nie dostrzegała, szła sobie lekko i uśmiechała się, gdy tylko na nią spojrzałem. Ola i Jurek, rzecz jasna, podążali naszym śladem.

- Może wstąpimy do tej uroczej kawiarenki – zaproponowała.

Owa „urocza kawiarenka" była po prostu ponurą sutereną, gdzie stało kilkanaście skrzynek, przy których, na mniejszych skrzynkach, bądź nawet na ułożonych po kilka sztuk cegłach, siedzieli przeważnie młodzi ludzie, oczywiście obszarpani i z „dyskotekami" na oczach Zachowywali tak, jakby byli w prawdziwej kawiarni

- Hej, Maja! – zawołał jakiś rudy chłopiec dając rękami przywołujące znaki.

- Hej, Algo! – ucieszyła się Maja i pociągnęła mnie za sobą. Docisnęliśmy się do „stolika", przy którym oprócz Alga, siedzieli jeszcze dwaj obszarpańcy: Niki i Roco.

W trakcie późniejszej rozmowy dowiedziałem się, że obaj studiują psychemię, (konia z rzędem temu, kto wie, co to znaczy), zaś Maja - ikebanistykę. Przypuszczałem, że ma ona coś wspólnego z japońską sztuką układania kwiatów, ale też nie dałbym za to głowy. Ja sam nie musiałem niczego wyjaśniać, Maja już na wstępie poinformowała, że byłem hibernowany, co wszyscy przyjęli ze zrozumieniem, a nawet podziwem.

Podszedł kelner, też obszarpany jak nieszczęście, przepasany burą szmatą udającą fartuch. Kłaniając się wytwornie, spytał, czego sobie życzymy. Niki i Roko, którzy już raczyli się jakąś barwioną wodą w wyszczerbionych szklankach, dali gestem znać, że na nic już nie mają ochoty.

- Dla mnie galaretkę z bakaliami. A dla ciebie? – spytała mnie.

- Dziękuję, na nic nie mam ochoty – była to prawda.

- Spróbuj – nalegała.

- Nie miałbym czym zapłacić – wykręcałem się.

- Drobiazg, biorę to na siebie. Dla niego to samo. W miśnieńskiej porcelanie – dorzuciła

Kelner uwinął się migiem i postawił przed nami fajansowe, obtłuczone miski (nasz Burek ma lepszą „porcelanę") z papką, wyglądem przypominającą rzadki gips. Smakiem również. Jednak mając na uwadze zasadniczy cel, konsumowałem to paskudztwo z pełnym poświęceniem.

Tymczasem nasza rozmowa zeszła na temat polityki rządu w sprawie granic wewnętrznej wolności osobistej. Słuchałem z nadzieją, że dowiem się czegoś ciekawego.

- Uważam, że nikt nie ma prawa zabraniać mi kształtowania mojej własnej osobowości – mówił z zapałem Niki. – Przecież żaden rządowy socjopsych nie wie lepiej ode mnie samego, z jakim charakterem czuję się najlepiej.

- Nie bierzesz pod uwagę jednostek bzikniętych, które mogą potęgować swoje psychiczne bziki. Zdecydowanie uważam, że rząd powinien kontrolować osobowość – oponował Roco.

- Ja też tak uważam – poparła Roka Maja. – Osobnik, który nie posiada pewnych cech, nie może ich oceniać, więc i tym samym wybrać. W takich sytuacjach musi za niego decydować ktoś z zewnątrz.

- Betka, z zewnątrz dostanie najwyżej standard. Gdzie tu miejsce na indywidualność?

- Standard można jeszcze przeinaczyć.

- Bajdury, wyjdzie z tego zakręcony przekręcony...

Dyskusja miała bardzo burzliwy charakter, bo Roko i Niki bronili swoich poglądów jak niepodległości, Maja kibicowała gorąco to jednemu, to drugiemu, tylko ja siedziałem jak na tureckim kazaniu niewiele z tego rozumiejąc.

Zadawałem sobie tylko pytanie, jaki cel ma ta idiotyczna kłótnia o osobowość, gdy nie ma się na grzbiecie całego łacha, a wokół taki bajzel, że głowa boli. Jedynym logicznym wytłumaczeniem mogły być tylko te „dyskoteki" na ich oczach, które być może powodowały inne widzenie rzeczywistości. Niestety, ciągle brakowało mi pretekstu żeby to potwierdzić.

Dwie godziny później nadarzyła się taka okazja. Wyszliśmy z kawiarni. Spytałem Maję, czy mogę odprowadzić ją do domu. Przytaknęła z wyraźnym zadowoleniem, a nawet zaproponowała, żeby iść okrężną drogą przez bulwary.

Wyjaśnię, że przez Leśniówkę płynęła niewielka rzeczka, a właściwie potok o tak czystej wodzie, że żyły w nim nawet pstrągi. Tu ów potok był betonowym korytem, którym sączył się cuchnący ściek. Brzegiem biegła wyboista, jak wszędzie, ścieżka obrośnięta na poboczach burzanem, pokrzywami i rachitycznym dzikim bzem. Gdzieniegdzie stały różne skrzynki, i stare beczki robiące najwyraźniej za ławki, bo siedziało na nich sporo ludzi. Jedni rozmawiali ze sobą, inni czytali jakieś skrawki gazet, jeszcze inni wystawiali twarze do słońca, które tego dnia wyjątkowo mocno przyświecało. Niektórzy, tak jak my, spacerowali. Wśród spacerowiczów byli rzecz jasna moi przyjaciele. W bezpiecznym oddaleniu podążali za nami krok w krok.

Wtem Maja zatrzymała się przy na wpół uschniętym krzaku osłaniającym stertę kamieni porośniętych mchem. Nawet nie próbowałem odgadnąć co to za cud: altana ukwiecona różami, czy może woliera[2] ze słowikami. Wystarczyło, że na jej twarzy malował się niemy zachwyt.

- Usiądźmy, tak tu ładnie – zaproponowała i nie czekając na moją odpowiedź, przysiadła na kamieniu wystającym z ziemi. Bez słowa poszedłem jej śladem. Ola i Jurek przystanęli kilkanaście metrów dalej. Postanowiłem zdecydowanie przystąpić do akcji.

- Pokaż jakie masz oczy – zadając to pytanie liczyłem, że Maja zdejmie przepaskę. Niestety. Odwróciła tylko twarz w moją stronę.

- Niebieskie. Ładne?

Przez chwilę próbowałem przeniknąć wzrokiem kwadratowe okienka jej opaski by cokolwiek za nimi dojrzeć, lecz poza błyskającymi kolorowo światełkami, niczego nie było widać. Zrozumiałem, że Maja tego nie wie.

- Bardzo ładne – powiedziałem, żeby sprawić jej przyjemność.

[2] Woliera – obszerne pomieszczenie osłonięte siatką przeznaczone dla ptaków latających.

- Wiesz co? Nigdy nie widziałam takich ślicznych zielonych tęczówek[3]. Czy kazałeś je sobie podretuszować? – powiedziała niespodziewanie

- Nie...

- A rzęsy? Twoje, czy wszczepiane?

- Od urodzenia moje.

Skoro już rozmowa zeszła na tak dogodny temat, nie mogłem nie brnąć dalej.

- Czy mogłabyś choć na chwilę to zdjąć... – wskazałem na przepaskę.

- Nie rozumiem.

-Jak się nazywa to, co nosisz na oczach?

- Na oczach? – teraz ona dotknęła przepaski. – Nic nie mam na oczach.

Zamurowało mnie. Przez chwilę zastanawiałem się, jak dalej poprowadzić tę rozmowę, żeby w jej mniemaniu nie wyjść na głupka.

- Adaś, czy ty naprawdę widzisz coś, czego ja nie dostrzegam? – w jej głosie wyczułem niepokój.

- Owszem, wiele rzeczy – powiedziałem ośmielony.

- Masz zaburzenia wzrokowe. Musisz to zgłosić...

- Nic nie będę zgłaszał, chcę tylko...

- W takim razie ja to muszę zgłosić – nie dała mi skończyć.

- Maju, chcę ci wyjawić pewną tajemnicę...

Nie chciała mnie słuchać.

- Muszę to zgłosić – wstała z wyraźnym zamiarem odejścia.

- Maju, poczekaj – złapałem ją za rękę, aby zatrzymać.

Chyba źle zrozumiała moje intencje, bo wyrwała się i zaczęła uciekać.

FELERNICY

Ucieczka Mai zupełnie zbiła mnie z tropu. Nie mogłem pojąć, co ją tak przestraszyło. Ola i Jurek nawet zaczęli mi z tego powodu robić wymówki.

- Przestańcie się czepiać. Nie zrobiłem niczego, co mogłoby spowodować taką reakcję.

[3] Tęczówka – barwna obwódka źrenicy oka.

- Nie ściemniaj, dziewczyna wyglądała, jakbyś przynajmniej chciał ją utopić w tej gnojówce – nie ustępował w oskarżeniach Jurek.

- Wypchaj się, sam mogłeś próbować załatwić tą sprawę. Krytykować każdy głupi potrafi.

- Nie kłóćmy się, w ten sposób do niczego nie dojdziemy – jak zwykle w takich sytuacjach Ola wprowadzała spokój. – Faktem jest, że Maję coś przestraszyło. Tylko co?

- Nie mam zielonego pojęcia – zapewniłem.

- Oni widzą inaczej niż my, dlatego nie możemy oceniać ich reakcji naszą miarą. Powtórz dokładnie całą z nią rozmowę. Może coś z tego wykombinujemy.

Powtórzyłem wszystko słowo w słowo, chociaż głupio mi było mówić o uwagach Mai o moich oczach. I szkoda, że tego nie przemilczałem, bo zaraz stałem się obiektem docinków Jurka.

- Najwyraźniej zaniepokoiło ją, że widzisz jej przepaskę – zauważyła Maja, gdy tylko skończyłem opowiadać. – Tylko komu musi to zgłosić?

- Pewnie jakiemuś okuliście – parsknął głupio Jurek. – Takie śliczne zielone oczy, a z felerem! To jasne, że dziewczyna po prostu doznała szoku – kpił dalej.

- Nie wiem, co miała na myśli, ale wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeżeli natychmiast stąd znikniemy – Ola rozejrzała się badawczo. – Wracajmy do naszych czasów.

Właściwie niczego nie załatwiliśmy. Nawet nie ustaliliśmy daty, co było celem naszej wyprawy, mimo to uważałem propozycję Oli za rozsądną. Miałem już po dziurki w nosie tego bajzlu. Ruszyliśmy z powrotem w kierunku złomowiska. Uszliśmy najwyżej sto metrów, gdy z naprzeciwka nadeszło trzech wyjątkowo wysokich mężczyzn. Nie wyglądali jak inni. Byli ubrani w czarne uniformy, w rękach trzymali coś, co wyglądało na bardzo nowoczesne pistolety i najważniejsze, nie mieli na oczach żadnych przepasek. Przystanęliśmy.

- Mnie to wygląda podejrzanie – powiedziała Ola. – Co robimy?

- Wiejmy!

Niestety, reakcja mężczyzn w czerni była błyskawiczna. Zanim zrobiliśmy w tył zwrot żeby się oddalić, rozległ się głos tak potężny, jakby nie wydobywał się z ludzkich gardeł, lecz megafonów zainstalowanych na olimpijskim stadionie. .

- Felernicy, natychmiast stop!!!

Rzuciliśmy się do ucieczki.

- Felernicy, natychmiast stop!!! Stop!!!

Jeszcze bardziej przyspieszyliśmy.

- Na rozkaz stróżów prawa, felernicy stop!!! – znów zagrzmiało.

Teraz zerwaliśmy się do biegu. Nie wiem, co spowodowało, że w ostatniej chwili odwróciłem głowę i zobaczyłem, jak mężczyźni w czerni składają się do strzału.

- Uwaga! – krzyknąłem rzucając się jednocześnie w bok, ale było już za późno. Ola i Jurek padli jak podcięci.

- Uciekaj! – zdążyła jeszcze zawoać Ola, zanim jej głowa opadła bezwładnie na ziemię.

Ruszyłem pędem przed siebie i w kilku susach dopadłem porosłego żółtą trawą i bezlistnymi krzakami rumowiska. Było oczywiste, że stróże prawa nie zaprzestaną pościgu i że mają nade mną przewagę.

- Felernik stop! Felernik stop! – coś świsnęło mi koło ucha, prawdopodobnie kula.

Pochyliłem jak najniżej głowę wypatrując rozpaczliwie możliwości ratunku.

- Felernik stop! Felernik stop! – znów kilka pocisków przeleciało tuż nad moją głową.

Padłem płasko w jakieś wgłębienie i zacząłem się czołgać w kierunku kamiennych schodów, które wystawały z rumowiska niczym jakaś abstrakcyjna rzeźba.

Gdyby ktoś urządził zawody w czołganiu się, zostałbym wtedy mistrzem świata. Nie czułem ani zmęczenia, ani bólu poranionych do krwi rąk i nóg. Przeciskałem się wśród kamieni i plątaniny suchych krzaków, jakbym niczego innego nie robił od urodzenia.

Strażnicy prawa byli pewni, że im nie umknę, szli więc bez pośpiechu moim śladem, nawołując tylko do kapitulacji. Prawdę mówiąc ja również swoich szans nie

oceniałem wysoko, lecz jak każda tropiona zwierzyna uciekałem licząc na cud. I dobrze robiłem, A było to tak.

Drogę zagrodziło mi zwalisko gruzu tak pechowo, że nie dało się go obejść ani prawą, ani lewą stroną, jedynie górą, ale wtedy byłbym widoczny jak na dłoni. Nie tylko zdradziłbym swoje dokładne położenie, lecz stałbym się łatwym celem. Odwrót też odpadał, gdyż z tyłu szli strażnicy. Mogłem tylko uciec do innego czasu, lecz przecież nie sam. Musiałem odszukać Olę i Jurka. Wszystko jedno, żywych czy martwych. Znalazłem się w matni,

Spostrzegłem w połowie zwaliska potężną żelbetową płytę Pomyślałem, że gdybym wyciągnął spod niej kilka kamieni, powstałaby całkiem niezła kryjówka. Raźno zabrałem się do roboty. Lecz tu czekała na mnie niespodzianka, Ledwo zabrałem się do roboty, ziemia pode mną rozwarła swoje czeluście, i z łomotem runąłem w dół.

TOR

Spadałem dość długo. Na szczęście dziura biegła ukosem, więc lecąc wytraciłem sporo z prędkości. Poza tym hamowałem szorując plecakiem po ścianie i obijając się o jakieś twarde występy. Wraz ze mną, z głuchym dudnieniem, spadały większe i mniejsze kamienie, które z wredną złośliwością rzeczy martwych, waliły we mnie jak w treningowy worek. Wreszcie grzmotnąłem o coś twardego. Kiedy przetarłem zakurzone oczy, stwierdziłem, że leżę w jakiejś piwnicy o bardzo wysokim sklepieniu. Było jasno. Światło dawały zatknięte w szpary ścian płonące pochodnie. Z trudem uniosłem głowę. W bezpiecznej odległości otaczał mnie ciemny krąg postaci. Najwyraźniej moje niespodziewanie wtargnięcie przyjęli z ostrożną rezerwą.

Już na pierwszy rzut oka zauważyłem, że różnią się oni od tych spotkanych na powierzchni. Przede wszystkim byli dużo dokładniej ubrani i nie nosili na oczach żadnych przepasek. „Jeżeli są stróżami prawa w cywilu, mam przechlapane na amen" – pomyślałem z rezygnacją.

Próbowałem wstać, lecz nie pozwolił na to potworny ból lewego barku. Z jękiem opadłem z powrotem na plecy. Przez długą chwilę nikt się nie kwapił z pomocą. Wreszcie podszedł do mnie jakiś chudzielec okutany szmatami jak muzułmańska kobieta.

- Czy jesteś torowcem? – spytał ni z gruszki ni z pietruszki.

- Nie. Zresztą, kim są torowcy?

- Nie wiesz?

- Niestety nie.

- Lepiej będzie dla ciebie, jeżeli od razu powiesz prawdę. Kim jesteś?

- Stróże prawa nazywali mnie felernikiem,

- Oni wszystkich nie halucników nazywają felernikami.

- Prawdę mówiąc znalazłem się tutaj przypadkowo i w ogóle nie mogę niczego zrozumieć. Nie mam zielonego pojęcia, co przeskrobałem, że ci na górze urządzili na mnie polowanie.

- Skąd znałeś to wejście.

- Nie znałem. Próbowałem się ukryć pod kamieniami i po prostu wpadłem. Czy wy nie macie w zwyczaju udzielać pierwszej pomocy?- jęknąłem by uświadomić im, że cierpię.

- Wrogom nie.

- Nie jestem wrogiem. Dwoje moich przyjaciół zostało albo postrzelonych, albo nawet zastrzelonych. Jeżeli mnie stąd wyrzucicie, będziecie mieli na sumieniu moje życie.

- Reperowali ci umysł?

- Nie wiem – skłamałem na wszelki wypadek.

- Co pamiętasz?

- Gonili mnie... nic więcej nie pamiętam – łgałem dalej, gdyż w tym idiotycznym świecie trudno było przewidzieć, co może okazać się podejrzane.

Zadali mi jeszcze kilkanaście równie bezsensownych pytań, a ja przez cały czas odpowiadałem: „nie wiem, nie pamiętam", aż w końcu uwierzyli, że nie stanowię dla nich żadnego zagrożenia. Pomogli mi wstać. d

- Zaprowadzimy cię teraz do szefa. On zadecyduje, co dalej.

Okutany facet kazał mi iść za sobą. Bez słowa sprzeciwu posłuchałem go. Ruszyliśmy wzdłuż korytarza. Co kilkanaście metrów korytarz, którym szliśmy, przecinał się z innymi korytarzami. We wnękach wykutych w ścianach, znajdowały się sklepy, kawiarnie, jakieś biura i nie wiadomo co jeszcze. Wszędzie panował spory ruch. Niewątpliwie było to podziemne miasto. Zastanawiałem się, jakie były koleje losu naszej Leśniówki, że nie tylko stała się wielkim miastem, ale jeszcze wydrążono pod nią labirynt korytarzy.

Wreszcie zatrzymaliśmy się przed masywnymi drzwiami. Prowadzący mnie zapukał pięścią.

- Wejdźcie – rozległ się głos ze środka.

Weszliśmy. Na środku ogromnego pomieszczenia stało biurko, za nim siedział łysy facet w okularach i zarękawkach, i pisał coś zaostrzonym ostro patykiem w wielkiej księdze.

- O co chodzi? – spojrzał na nas znad okularów.

- Wpadł tu taki jeden niekumaty, i mówi, że nic nie wie.

- Czy to ten? – staruszek wskazał mnie patykiem.

- Tak, to ja – przyznałem się.

- Nie interesuje mnie, czego nie wiesz. Ważne jest, czy chcesz przystąpić do TOR-u?

- Rozważę tę propozycję, tylko muszę wiedzieć, czym jest ten TOR.

- TOR to skrót Tajnej Organizacji Realistów.

- Zapiszę się, jeżeli będę mógł liczyć na waszą pomoc –zaryzykowałem.

- To oczywiste. Bajana, pomóż mu – dał ręką znać, że sprawę uważa za załatwioną i znów pogrążył się w pisaniu.

***

Bajana na razie zakwaterował mnie w swoim własnym mieszkaniu, o ile mieszkaniem można nazwać wykutą w ścianie niszę oddzieloną od korytarza zasłoną. Niemniej była tu zdezelowana leżanka, stół. dwa krzesła, a nawet szafa. Zaraz też przyprowadził lekarza, który obejrzawszy mój bark, stwierdził, że to zwykłe zwichnięcie, po czym bez uprzedzenia, o znieczuleniu nawet nie wspominając, mocnym szarpnięciem nastawił staw. Resztę ran i potłuczeń

zignorował. Na nieszczęście apteczka została w plecaku Jurka, więc musiałem uwierzyć mu na słowo.

Według mojego zegarka byłem już dwadzieścia godzin bez snu. To, i mordercza ucieczka przed stróżami prawa, tak dały mi się w kość, że ledwo trzymałem się na nogach. Musiałem choć chwilę się przespać, żeby jakoś funkcjonować.

Bajana powiedział, żebym się czuł jak u siebie w domu i wyszedł. Jak stałem, tak padłem i natychmiast zasnąłem kamiennym snem.

WSTĘPUJĘ DO TAJNEJ ORGANIZACJI REALISTÓW

Czas pokazał, że do Tajnej Organizacji Realistów łatwiej było wejść (w moim przypadku wpaść), niż ją opuścić. Organizacja stanowiła, rzecz jasna strukturą polityczną, pozostającą w bojowej opozycji w stosunku do tych na górze i, jak się pewnie domyślacie, należeli do niej wszyscy mieszkańcy podziemia.

Bajana nie ukrywał dumy z faktu, że udało mu się pozyskać jeszcze jednego zwolennika ideałów torowców. Chwalił się mną na lewo i prawo, a przy tym przedstawiał wszystkim po kolei.

Potwierdziły się nasze przypuszczenia, iż przepaski na oczach to wirtualne okulary, tutaj nazywane halucynerami. Osoba, która je nosiła, widziała otoczenie uporządkowane, luksusowe, eleganckie, wygodne, w najpiękniejszych barwach.

- I nikt tego nie zdejmuje? – zdziwiłem się.

- A czy ty próbowałeś kiedyś zdjąć nos lub ucho? Halucynera nie postrzega się jako obcego ciała. Ba, w ogóle się o nim nie wie. Poza tym każdy ma zakodowane w podświadomości, że widzący świat inaczej są świrami niebezpiecznymi dla otoczenia.

- Dlaczego więc wy nie nosicie halucynerów i nie boicie się widzących inaczej?

- Dzięki wielkiemu Hajdawerowi, który eksperymentując z własną umysłowością, odkrył świat prawdziwie realistyczny, istniejący obok świata rzeczywistego, będącego w rzeczywistości światem iluzorycznym. Złośliwi twierdzą, że nie odkrył, tylko stłukł swój halucyner i nie poddał się reperacji pamięci,

ale to wredne pomówienie. Hajdawer był wielkim filozofem, dobroczyńcą ludzkości. Nie mogę wyjść ze zdziwienia, że nic o nim nie wiesz.

- Nie wiem, ale chętnie posłucham.

Zignorował moje słowa.

- Walczymy o to żeby przywrócić naturze pierwotny wygląd – ciągnął dalej z ogniem w oczach.- Świat musi być piękny bez cygaństwa. Szykujemy ogólnoludzką rewolucję. Zwyciężymy tych wirtualnych oszustów. Wykorzystamy i wprowadzimy w życie mądrość naszych wielkich przodków.

- Co wam zostało z tej mądrości dawnych pokoleń? – zainteresowałem się.

- Wszystko! Chodź, pokażę ci.

Pociągnął mnie do ogromnego pomieszczenia z kilometrami półek, na których stały niekończące się szeregi książek, płyt gramofonowych i kompaktowych, kaset, jakichś biurowych teczek, i segregatorów.

- Patrz, tu jest zgromadzona cała mądrość ludzkości. To rarytaśne, prawda? Gdy tylko zdobędziemy władzę, natychmiast zrobimy z tego użytek.

Trochę mnie zaskoczyło, że w nasza mała Leśniówka zostanie w przyszłości magazynem ogólnoludzkich osiągnięć, ale gotów byłem się założyć, że zgłębianie nagromadzonej tu wiedzy potrwa do końca świata.

Nie chciałem tracić czasu na roztrząsanie tego problemu. Miałem przecież co innego na głowie. Uznałem, że nadeszła sposobność, aby wreszcie zacząć organizować akcję ratunkową dla Oli i Jurka.

- Słuchaj Bajana, opowiadasz ciekawie, ale obiecaliście mi udzielić wszelkiej pomocy.

- Czy ci nie pomagam? – obruszył się. – Robię co mogę, abyś przestał żyć iluzją i zrozumiał nasze ideały.

- Rozumiem, ale mam na myśli przyjaciół, nawet nie mam pewności, czy żyją. Strzelano do nich.

- Z rakietonów?

- Nie wiem jak wyglądają rakietony.

- Są długaśne, rozszerzające się na końcu a po wystrzale z lufy błyska żółty ogień.

- Nie, to była broń krótka...

- E tam, nic im nie będzie, zreperują im pamięć, założą halucynery i tyle.

- Widziałem jak upadli.

- Betka. Dostali śrut nasenny dum-śpium.

Kamień spadł mi z serca, chociaż przeraziła myśl, że ktoś będzie majstrował koło ich mózgów. Jeżeli bowiem reperacja pamięci miałaby polegać na wymazaniu wszelkich wspomnień, byłoby to tragedią. Ola i Jurek zapomnieliby kim są i nie wiadomo, czy potrafiłbym im to przypomnieć. Może nawet uciekaliby od mnie jako od felernika. Należało działać.

- Bajana, musimy ich jak najprędzej uwolnić.

- Uwolnimy razem ze wszystkimi.

- Kiedy?

- Gdy zrobimy ogólnoświatową rewolucję.

- Niech cię świnia powącha! – zezłościłem się. – Zanim od gadania przejdziecie do czynów, może minąć sto lat.

- Może, ale na razie nie jesteśmy gotowi. Czy mówiąc „świnia" miałeś na myśli mityczne zwierzę?

- Jasne. Więc pomożesz ich uwolnić, czy nie? - Ponieważ Bajana milczał niezdecydowany, dodałem: - Jeśli nie chcesz pomóc, powiedz przynajmniej, jak wyjść na powierzchnię. Sam to zrobię.

- Nie wolno opuszczać podziemi.

- Co?

- Żyjemy tutaj w głębokiej konspiracji. Każdy, kto by stąd wyszedł, mógłby nas zdradzić. Postanowiliśmy, że dopóki nie będziemy gotowi, zakażemy opuszczać podziemia.

Oniemiałem. Przez chwilę rozważałem, co robić. Dalej domagać się wskazania drogi do wyjścia, czy udać, że zgadzam się z tutejszym prawem i poszukać go na własną rękę? Wybrałem to drugie.

- No trudno – powiedziałem. – W takim razie szkol mnie dalej.

***

Udawałem ogromne zainteresowanie wszystkim, co dotyczyło torowców, lecz mój cel był zupełnie inny, niż sądził Bajana. Prawdę mówiąc, mało obchodziły mnie ich ideały, chciałem wysondować, jak stamtąd uciec.

Moim zdaniem musieli wychodzić na powierzchnię chociażby po to, żeby uzupełniać zapasy, usuwać odpadki, lub po prostu mieć rozeznanie, co tam się dzieje. W każdej walce, nawet ideologicznej, szpiegowanie jest ważnym elementem strategii. Poza tym najprawdopodobniej podziemia były wentylowane powietrzem znad ziemi za pomocą jakichś przewodów, gdyż inaczej płonące pochodnie raz dwa zużyłyby cały tlen. Tu widziałem dla siebie szansę ucieczki.

Podążając krok w krok za Bajaną, lustrowałem pilnie otoczenie. Miejscami przypominało ono korytarze po wyeksploatowanej kopalni, miejscami opuszczone metro, a miejscami zwykłe tunele wykopane w ziemi i zabezpieczone wątpliwej jakości stemplami.

Życie na wzór kretów, bez słońca i świeżego powietrza odcisnęło piętno na wyglądzie tutejszych mieszkańców. Podobnie jak Bajana, wszyscy byli papierowo bladzi i chuderlawi, i zakutani w szarobure szmaty. Niewątpliwie wynikało to z panującej tu wilgoci i piwnicznego ziąbu. Ja, ze swoją posturą, opalenizną i ubiorem z zupełnie innej epoki, i plecaka, rzeczy tu zupełnie nieznanej, tak się od nich różniłem, że każdy wywalał na mnie gały jak na dziwoląga. W tej sytuacji trudno byłoby mi się zgubić w tłumie, by prowadzić poszukiwania na własną rękę. Chodziłem po tym labiryncie za Bajaną i ogarniało mnie coraz większy niepokój, nigdzie nie dostrzegałem możliwości ucieczki. No, chyba że zmieniłbym się w dżdżownicę. Nie traciłem jednak nadziei.

- Skąd czerpiecie wodę? – spytałem.

- Ze studni.

- A powietrze?

- Powietrze? Powietrze... po prostu jest.

- Nie bajdurz, musicie mieć jakiś system wentylacyjny.

- A co? Duszno ci? – spojrzał na mnie podejrzliwie, jakby domyślał się do czego zmierzam.

- Skoro mam tu spędzić resztę życia, chcę wiedzieć, czy to bezpieczne – skłamałem.

- Nie pękaj. Bardzo bezpieczne.

Jeszcze tego samego dnia, w sąsiedztwie Bajany, przyznano mi zasłoniętą szmatą dziurę w ścianie wraz z prawem do jej powiększenia. W praktyce oznaczało to, że wkuwać się wykuwać się w litą skałę tylnej ściany. Czym? Tego nikt nie powiedział, a ja nie pytałem.

W „mieszkaniu" było już jakieś krzywe wyrko i kulawy taboret, a resztę należało sobie zorganizować lub po prostu kupić. Ta opcja w ogóle mnie nie interesowała, jednakże Bajana z nieustającą wolą pomocy, nie odstępował mnie na krok.

- Chodź, kupimy szafę i parę drobiazgów.

- Nigdzie nie pójdę, nie mam czym płacić.

- E tam nie bajdurz! Za to rarytaśne dolne wdzianko możesz dostać cztery szafy.

- Zgłupiałeś? Mam zostać bez spodni?

- Za to urządzisz sobie luksusowo mieszkanie.

- Nie jestem zainteresowany.

- A może sprzedaż torbę, którą nosisz stale na plecach?

- Wykluczone.

- Co w niej chowasz? Na pewno same rzeczy super. Pokaż.

- Nic do zbycia.

Bajana zaczynał już mi działać na nerwy. Musiałem wreszcie jakoś go spławić, żeby pomyśleć, co dalej.

- Pokaż – nalegał. - Inaczej pomyślę, że chowasz coś, co może zaszkodzić torowcom.

- Na przykład co?

- Ja ci ufam, ale wiesz jak to jest... – zawiesił znacząco głos.

- No dobrze, pokażę ci, to jest do jedzenia – wyciągnąłem z bocznej kieszeni plecaka batonik. Bajana przez chwilę obracał go w rękach, wreszcie, nie zdejmując papierka, włożył do ust.

- Ej, stary, zadławisz się, a ja rzeczywiście zostanę posądzony o wrogą robotę. Dawaj! - rozwinąłem czekoladkę – Teraz jedz.

Bajana jedząc ciamkał i pomrukiwał, a na jego twarzy malowała się taka błogość, jakby właśnie wzięto go żywcem do nieba.

- Co to jest? Masz tego więcej?

NINKA

Poczęstowanie Bajany batonem było najgłupszą rzeczą, jaką mogłem zrobić. Odtąd Bajana uwiedziony smakiem czekolady, przyczepił się mnie jak rzep psiego ogona. Dałem mu jeszcze paczkę landrynek, co w efekcie wzbudziło w nim podejrzenie, że mój plecak jest jakimś mitycznym rogiem nieprzebranych obfitości.
Jego ciamkanie i chrumkanie było tak głośne, że w końcu do mojej dziury zaczęli zaglądać inni ciekawscy sąsiedzi. Na szczęście Bajana okazał się chytrusem, wykalkulował, że gdy rozdam słodycze innym, dla niego nic nie zostanie. Szybko zaczął ich wypychać za kotarę. To podsunęło mi pewien pomysł:

- Bajana, chcesz mieć cały worek czekolady? – spytałem.

- Kto by nie chciał? – jego oczy zaświeciły pożądaniem.

- Wskaż mi drogę na powierzchnię.

Cofnął się przestraszony.

- Mam zdradzić naszą sprawę?

- Nie bądź palantem. Umożliw mi ucieczkę, a dostaniesz tyle łakoci, że starczy ci na rok. No i jak? – kusiłem.

- Nie zdradzę.

- Nie, to nie. Pogadam z kim innym.

- Będę musiał na ciebie donieść do szefa. On da rozkaz, żeby ci wszystko zarekwirować.

- Proszę bardzo, tylko wiedz, że najsmaczniejsze słodycze są w workach moich przyjaciół – próbowałem zbić go z pantałyku.

- Nie bajdurz, jeśli złapali ich stróże prawa, już dawno nic im nie zostało.

- Być, może, ale jak na mnie doniesiesz, szef postąpi tak samo i wątpię, czy się z tobą podzieli. No to jak? Pomożesz mi, czy nie? W razie czego powiesz, że sam uciekłem.

Bajana sposępniał.

- Nie wiem jak stąd uciec. Choćbyś mi dawał studnię czekolady, nie wiem i już.

Albo naprawdę nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć. Tylko jednego mogłem być pewny, udając przyjaciela, po prostu mnie pilnował i być może nawet donosił? Aż oblał mnie zimny pot na wspomnienie własnej lekkomyślności. Rąbnąłem się spać, narażając na szwank zegar. Strach pomyśleć co by było, gdyby go skradziono, lecz teraz, gdy dla Bajany plecak stał się obiektem pożądania, musiałem zachować wyjątkową czujność.

- Trudno, pozostaje mi tylko przyjąć to do wiadomości – westchnąłem obłudnie.

- To dobrze, z czasem przekonasz się, że takie rozwiązanie jest najlepsze dla ciebie. Teraz pójdziemy na zebranie aktywu torowców. Szef ma wygłosić referat o wpływie halucynerów na podświadomość.

- Jestem zmęczony. Idź sam, potem wszystko mi powtórzysz.

- Niebywałe! Nie chcesz posłuchać szefa?

- Nie.

- Twój brak zaangażowania w naszą sprawę nie spodoba się szefowi.

- Przeżyję to jakoś.

- Twój kręgosłup ideologiczny jeszcze nie okrzepł, dlatego jest narażony na moralne skrzywienia. Twój umysł ciągle skażony destrukcyjnymi wpływami wirtualnych oszustów, jest rozchwiany i ...

- Przestań przytruwać. Mówiłem ci już, że nic nie pamiętam, więc nie grozi mi żadne moralne skrzywienie kręgosłupa, ani tym bardziej destrukcja umysłu. Chce mi się spać, a sen jeszcze nikogo nie zaprowadził na manowce ideologii.

Na potwierdzenie swoich słów rzuciłem się na wyrko i zamknąłem oczy. Tak naprawdę chciałem po wyjściu Bajany skombinować jakąś szmatę, przebrać się i

spenetrować podziemia na własną rękę. I zwiać, rzecz jasna, gdyby tylko nadarzyła się ku temu sposobność.

Bajana marudził jeszcze chwilę, ale w końcu wyszedł. Leżałem i myślałem. Pomysł przebrania się byłby prosty jak budowa cepa, gdyby nie problem: Skąd wziąć kawałek burego materiału? Mogłem owinąć się zasłoną zastępującą drzwi, lecz zdejmowanie jej mogłoby wzbudzić czyjąś podejrzliwość. Pozostało tylko wybrać się na zakupy i przehandlować wszystko jedno co: skarpetki, zapałki, długopis, jeszcze jedną paczkę słodyczy, albo cokolwiek. Niespodziewanie dla siebie okazałem się zamożnym człowiekiem i byłbym ostatnim osłem, gdybym nie próbował tego wykorzystać.

Wtem do mojej dziupli wsunęła się niepozorna dziewczyna.

- Hej, Adam, pamiętasz mnie? Jestem Ninka. Mieszkam obok.

- Hej – tłumiąc niezadowolenie usiadłem na łóżku.

- Popatrz, co sprzedał mi Bajana – wskazała na złotko po czekoladce przypięte jak broszka.

- Dlaczego uważasz, że należy mi to pokazać?

- Jest piękne. Czy masz tego więcej?

- Jeżeli mam, to co? – odpowiedziałem pytaniem, a w głowie zaświtał mi pomysł.

- Chętnie kupię. Dam ci bardzo dobrą cenę. Przypuszczam, że nie zedrzesz ze mnie tyle, co Bajana.

- A gdybym poprosił cię o ubranie?

- Ubranie? Przecież jesteś już ubrany.

- Owszem, ale chcę takie ubranie, jakie masz ty.

- Myślisz, że w ten sposób uda ci się stąd uciec? – Ninka zaskoczyła mnie niebywałą wprost przenikliwością. Przez chwilę zastanawiałem się, co powiedzieć: prawdę, czy na poczekaniu wymyślić jakieś kłamstwo. Wybrałem trzecią możliwość:

- Dlaczego tak sądzisz? – spytałem.

- Każdy by stąd uciekł, gdyby tylko miał dokąd.

- Ty też?

- Ja pierwsza.

- Uciekłabyś ze mną?

- Pewnie. Tylko doskonale wiem, że jest to nierealne. Tam – wskazała ku górze – nikt na mnie nie czeka. Chyba, że przyjęli by mnie ci, którzy czekają na ciebie – popatrzyła z nadzieją.

Gorączkowo zastanawiałem się nad odpowiedzią. Składanie obietnic bez pokrycia byłoby zbyt wielkim draństwem wobec tej mizernej dziewczyny. Wiadomo, kiedy odnajdę Olę i Jurka, wrócimy do naszych czasów. Czy jest w nich miejsce dla Ninki? Nie tylko dla niej, ale kogokolwiek z przyszłości lub przeszłości?

- To nie jest takie proste – powiedziałem ostrożnie, po czym, po namyśle dodałem: – Uważam jednak, że należy przynajmniej próbować coś zmienić.

- Łatwo mówić – Ninka opuściła głowę i przez chwilę zastanawiała się nad czymś głęboko. - Tutaj ciągle mówią o ogólnej rewolucji, ale na mówieniu się kończy. Niczego się nie doczekam, jeżeli będę czekać bezczynnie. Masz rację, powinnam spróbować. Jeżeli się nie uda, to przynajmniej zobaczę słońce. Mama opowiadała, że jest ono jaśniejsze niż najjaśniejsza pochodnia i codziennie wstaje na wschodzie, i zachodzi na zachodzie.

- Czy znasz drogę do wyjścia?

- Zna ją tylko szef, ale mama mówiła, że można z podziemi wyjść idąc od biblioteki przez cały czas w kierunku północnym. Problem w tym, że nie wiadomo gdzie ta północ jest.

- O to się nie martw. Przynieś mi coś do przebrania.

DO CELU NA AZYMUT

W niecały kwadrans później okutany jakąś burą szmatą, wraz z Ninką podążałem ku wolności. Z tym, że najpierw trzeba było dojść do biblioteki, dopiero stamtąd ku wyjściu, które miało być gdzieś na północy.

Gratulowałem sobie w duchu, że przyszło mi do głowy zapakować do plecaka kompas, gdyż dzięki niemu wyjście z podziemi wydawało się proste. Na razie wszystko szło pomyślnie. Biblioteka stała na skrzyżowaniu dwóch szerokich korytarzy.

- No widzisz, stąd można iść w czterech kierunkach, a na każdym następnym skrzyżowaniu, w następnych czterech. To prawdziwy labirynt – zmartwiła się Ninka.

- Damy sobie radę – pocieszyłem ją. Położyłem kompas na dłoni. – Widzisz, ta igła bezbłędnie wskaże nam kierunek północny.

- Nawet gdy będziemy się kręcić w kółko?

- Nawet wtedy.

Ruszyliśmy. Korytarz prowadził prosto jak strzelił, więc szliśmy pewnie. Nadal nurtowało mnie pytanie, co sprawiło, że pod powierzchnią Leśniówki i jej okolic, powstała sieć podziemnych korytarzy. Przecież nikt ich nie kopał dla samego kopania. Spytałem o to Ninkę.

- Odpowiedź na pewno można by znaleźć w bibliotece, ale nie znam nikogo, kogo by to interesowało.

- Mnie interesuje.

- I co ci przyjdzie z tego, że będziesz wiedział?

- Zaspokoję ciekawość. Jestem z natury chorobliwie ciekawski.

- Aha – stwierdziła krótko dając do zrozumienia, że rozumie, chociaż wcale nie byłem tego pewien.

Tymczasem doszliśmy do rozwidlenia korytarzy. Trudno było powiedzieć, która odnoga szła bardziej na północ. Na chybił trafił poszliśmy w prawo, ale już po kilkudziesięciu metrach droga skończyła się ślepo w jakimś ciemnym zaułku, więc wróciliśmy do rozwidlenia i poszliśmy w lewo.

Wytrwale brnęliśmy przed siebie. Korytarze stawały się coraz bardziej zaniedbane i gorzej oświetlone. Tu i ówdzie ze stropu i ścian sączyła się woda tworząc błotniste kałuże. Coraz mocniej podejrzanie wyglądali też napotykani ludzie. Jedni zataczali się śpiewając sprośne piosenki, inni siedzieli pod ścianami wąchając jakieś świństwa, jeszcze inni leżeli na ziemi bez żadnych oznak życia. Od czasu do czasu ktoś prosił nas o skręta albo marychę. Kiedy odmawialiśmy, obrzucali nas wyzwiskami, lub grozili pobiciem. Na szczęście byłem przynajmniej o głowę wyższy od każdego z nich, więc kończyło się na pogróżkach.

Kilka razy natrafialiśmy na ślepe odnogi, lecz ciągle udawało nam się utrzymywać odpowiedni kierunek. Wreszcie weszliśmy w ciemny jak sadza korytarz, w którym nie było żywego ducha. Zaświeciłem latarkę. To, co zobaczyłem, nie nastrajało optymistycznie. Ze stropów wisiały jakieś rury, belki i druty. Przegniłe i poprzewracane podpory tworzyły barykady, zdawało się nie do przebycia. Spadająca zewsząd deszczem woda spływała całą szerokością chodnika błotnistym potokiem. Stałem i zastanawiałem się, co robić. Ryzykować dalszą drogę, czy szukać innego wyjścia, gdyż gdyby to wszystko runęło nam na głowy, pogrzebałoby nas na zawsze. Z drugiej strony łudziłem się, że skoro wytrzymało dotychczas, wytrzyma jeszcze parę godzin. Rzecz jasna pod warunkiem, że będziemy poruszać się bardzo ostrożnie.

- Czy naprawdę nie ma stąd innego wyjścia? – spytałem Ninkę w nadziei, że może jeszcze coś sobie przypomni.

- Nie wiem. Ale nigdy nie słyszałam, żeby komukolwiek udało się stąd uciec. Przecież gdyby była jakaś możliwość ucieczki, ktoś by z niej skorzystał.

- Słuchaj Ninka, ta droga jest bardzo niebezpieczna. Nie musisz iść dalej, jeżeli nie chcesz.

- Możemy zginąć?

- To bardzo prawdopodobne.

- A czy ty idziesz?

- Idę – zadecydowałem niespodziewanie sam dla siebie.

- W takim razie ja też.

- Więc chodźmy.

Zagłębiliśmy się w kanał. Ciekło nam na głowy, nogi grzęzły w błotnej mazi, ale nie było tak źle. Nawet przegniłe stemple, które zagradzały przejście, dawały się łatwo usuwać. W moje serce wstąpiła nadzieja, że wyjdziemy z tego cało. Co prawda przemokliśmy do suchej nitki, ale nie był to przecież powód, żeby zawrócić. Po godzinie, oprócz odgłosów kapiącej wody i naszych kroków, usłyszeliśmy dziwny szum. Chwilę później udaremniła nam drogę szeroka od ściany do ściany, długa na dwa metry... dziura. To właśnie do niej ściekała woda z charakterystycznym szumem.

- No, jeszcze tego nam brakowało! – zawołałem zdenerwowany.

Ostrożnie zbliżyłem się do brzegu dziury, by zbadać jej głębokość. Było gorzej, niż myślałem. Światło latarki rozproszyło się, nie sięgnąwszy dna. Po dokładniejszych oględzinach stwierdziłem, że jest to właściwie szyb o betonowych ścianach, w których zachowały się resztki jakichś pordzewiałych szyn, uchwytów i kabli. Po drugiej stronie szybu, korytarz skręcał ostro w lewo.

Spojrzałem w górę i aż mnie zatkało z wrażenia. Jak przez komin, zobaczyłem gwieździste niebo. Chyba jedyną rzecz jakiej nie dali rady spaskudzić ludzie – wyglądało dokładnie tak samo, jak w moich czasach Nie jestem sentymentalny, ale wzruszenie ścisnęło mi gardło.

Krótko mówiąc szyb, na który natrafiliśmy, biegł z powierzchni, przecinał nasz korytarz i ginął gdzieś w czeluściach ziemi. Z naszego poziomu do krawędzi szybu było najwyżej dziesięć metrów, jednakże nie widziałem sposobu, jak tę odległość pokonać.

- Co to tam w górze tak świeci? – spytała Ninka, która idąc za moim przykładem, podniosła oczy ku górze.

- Gwiazdy. Na powierzchni jest teraz noc.

- Przepiękne.

- Tak, szczególnie w porównaniu z tym, co mamy tutaj.

Przez chwilę staliśmy z zadartymi głowami zatopieni każdy w swoich myślach.

- Mam niejasne przeczucie, że ten ostatni odcinek drogi okaże się dla nas nie do pokonania. Popatrz, to prawdziwa studnia – przerwała milczenie Ninka.

- No, nie jest za dobrze – przyznałem.

- Więc, co robimy?

- Spróbujemy się przedostać na się na drugą stronę i zobaczyć, co jest dalej.

Za naszych czasów, po północnej stronie Leśniówki, ze wschodu na zachód ciągnął się pasmem masyw górski zwany Wielkim Działem. Skoro korytarz przez cały czas biegł mniej więcej poziomo z południa na północ, i jeżeli w przyszłości nikt nie zniwelował terenu, a to było mało prawdopodobne, musiał wreszcie wyjść z jego stoku.

- Jak się tam przedostaniemy?

Gdyby chodziło tylko o mnie mógłbym, biorąc odpowiedni rozbieg, przeskoczyć szyb, chociaż, przy błotnistym podłożu było to dość ryzykowne. Ale Ninka? Nie, to zdecydowanie przekraczało jej możliwości.

- Zrobimy pomost.

- Z czego?

- Pełno tu różnych klamotów.

- Myślisz, że wytrzymają nasz ciężar?

- Miejmy nadzieję – powiedziałem raźno pomimo, iż dręczyły mnie podobne obawy.

Cofnąłem się w głąb korytarza w poszukiwaniu czegokolwiek długiego i mocnego. Niestety, stemple rozpadały się jak próchno, gdy tylko ruszałem je z miejsca. Świeciłem po ścianach i stropie wypatrując ratunku. Byłoby okrutną ironią losu gdyby wtedy, gdy cel jest na wyciągnięcie ręki, trzeba było z niego zrezygnować. Pozostało mi tylko odprowadzić z powrotem dziewczynę i próbować jeszcze raz w pojedynkę. Ta, jakby odgadła moje zamiary, bo wybuchła głośnym płaczem. No, jeszcze tego brakowało! Jak ja nie cierpię mażących się bab!

- Stało się coś? – spytałem.

- Nigdy nie zobaczę słońca. Nie byłoby mi tak żal, gdybyśmy nie dotarli tak blisko celu. Będę nieszczęśliwa do końca życia – buczała.

Wszystko wskazywało, że mnie czekał ten sam los. Chyba że zostawię Olę i Jurka, i wrócę sam do naszych czasów. Taka myśl doprowadzała do szału. Wstąpił we mnie demon. Ze złości kopałem wszystko, co podeszło mi pod buty, wyrywałem ze ścian wystające elementy i w ogóle, zachowywałem się jak skończony wariat

To, że cokolwiek co wpadło w moje ręce, było niszczone z dziecinną łatwością, jeszcze bardziej podsycało moją wściekłość. Już wkrótce dookoła piętrzyły się sterty połamanych stempli, potrzaskanych płyt i innego gruzu. Aż dziw, że w tym szaleństwie nie naruszyłem stabilności stropu. Wreszcie kopnąłem w jakąś belkę i aż zawyłem z bólu. Ta, zamiast się rozsypać w drobny mak, leżała sobie jakby nigdy nic. To mnie otrzeźwiło. Obejrzałem ją dokładniej.

Belka była z żelbetu. Jakaś nieznana siła złamała ją w połowie tak, że dolna jej część tkwiła w ścianie, górna opadła jak złamana gałąź.

- Znalazłeś coś? – Ninka przestała płakać.

- Chyba tak, tylko musimy to jakoś ruszyć z miejsca.

- Pomogę ci.

Belka ważyła ze sto kilo, ale udało nam się ją podnieść i przerzucić przez szyb. Przeszliśmy po niej jak po kładce.

***

Minęliśmy załom, uszliśmy jeszcze z pięćdziesiąt metrów i przez na wpół zasypane przejście weszliśmy do ogromnego pomieszczenia, a właściwie hali. Całą posadzkę zaścielała taka ilość gruzu, jakby zawalił się na nią przynajmniej wieżowiec.

- Czy już jesteśmy na powierzchni? – spytała Ninka.

- Nie sądzę.

Skierowałem światło latarki w górę. Mniej więcej na wysokości trzeciego piętra rozpościerała się żebrowana kopuła stropu. Niżej, po prawej stronie, biegła częściowo zachowana galeria. Po lewej – zwisała potężna stalowa kratownica. Jeszcze niżej ciągnął się rząd prostokątnych nisz, z których wystawały pogięte wiązki stalowych prętów.

Nie wiadomo po co wybudowano tę halę. Może była stacją metra, a może czymś zupełnie innym? W każdym bądź razie do czegokolwiek by nie służyła, musiała mieć wejście i wyjście.

- Co teraz? – zaniepokoiła się Ninka.

- Nadal idziemy na północ.

Sprawdziłem kierunek na kompasie, chociaż nie byłem pewien, czy w bliskości takiej ilości żelastwa jakie walało się tutaj, jego wskazanie będzie coś warte. Rzeczywiście, wskazówka nie sprawiała wrażenia wiarygodnej, postanowiłem więc iść wzdłuż ściany, w nadziei, że natrafimy na jakieś drzwi ku wolności.

Ruszyliśmy lewą stroną. Za kratownicą ciągnął się szereg prostokątnych otworów, ale niestety, wszystkie były zasypane gruzem. Nieco dalej natrafiliśmy na załom, za którym biegły schody.

- Sprawdzę dokąd prowadzą. Poczekaj na mnie.

- Nie zostanę ani chwilki sama.

- Boisz się ciemności? Zostawię ci drugą latarkę.

- Proszę cię, zabierz mnie z sobą – skrzywiła się do płaczu.

- No dobrze - ustąpiłem chyba zbyt łatwo, ale chciałem sobie oszczędzić nieznośnego, babskiego mazgajstwa.

Schody mogły lada moment runąć, bo przecież wszystko tu trzymało się na słowo honoru, „więc co za różnica" – dodawałem sobie otuchy.

Zaczęliśmy się wpinać ku górze, ale nie uszliśmy za wysoko. Natrafiliśmy na zwaloną ścianę. Zawróciliśmy. Kawałek dalej napotkaliśmy następny załom, a za nim następne schody. Te też postanowiliśmy sprawdzić i dobrze zrobiliśmy, bo tym razem dopisało nam szczęście. Wyszliśmy na niewielką platformę i poczuliśmy na twarzy powiew świeżego powietrza.

Niecierpliwie omiotłem otoczenie światłem latarki. Na wprost nas w murze widniała wielka dziura, za którą jakieś poplątane konstrukcje czerniły się na tle jaśniejszego nieba.

NA POWIERZCHNI

Wyszliśmy na morze ruin. Ruiny musiały być bardzo stare, bo w rozpadlinach i zagłębieniach plenił się gęsto burzan[4], ale fakt, że nad głowami mieliśmy najprawdziwszy firmament, wprawił nas w prawdziwą euforię. Ninka patrzyła w górę z otwartymi ze zdziwienia ustami. Zbliżał się świt. Chociaż jeszcze świeciły gwiazdy i księżyc w pełni, niebo na wschodzie poróżowiało zwiastując wschodzące słońce. Po ponurych podziemiach był to wspaniały widok przywracający optymizm. Byliśmy potwornie zmęczeni. Musieliśmy nie tylko odpocząć i nabrać sił przed dalszą drogą, lecz coś zjeść i wysuszyć przemoczone ubrania. Miałem w plecaku bawełniany dres na zmianę, ale oddałem go Nince, która z zimna trzęsła się jak galareta. Sam zmieniłem tylko skarpetki, reszta musiała wyschnąć na mnie.

[4] Burzan – wysokie kępy zwartej roślinności, głównie łopiany i osty.

Rozejrzałem się za jakimś w miarę wygodnym miejscem, ale na takim rumowisku żadnych wygodnych miejsc po prostu nie było. W końcu znalazłem wystającą z gruzu ukośnie płytę. Na jej brzegu powiesiłem szmaty tworząc coś w rodzaju szałasu dającego jako takie schronienie. Nazbieraliśmy suchych badyli i u wejścia rozpalimy ognisko, po czym zjedliśmy po kanapce i ułożyliśmy się do snu. Ogień dawał błogie ciepło, więc już po chwili powieki zaczęły mi ciążyć i sam nie wiem kiedy, zasnąłem jak kamień. Gdy się ocknąłem, ogień już wygasł, a słońce stało wysoko na niebie. Ninka ciągle jeszcze spała zwinięta w kłębek.

Na moim zegarku dochodziła jedenasta, chociaż na oko minęło już południe, ale w końcu i tak pomiar czasu jest sprawą umowną. Rozprostowałem obolałe kości i zbudziłem Ninkę. Wtedy okazało się, że od ciągłego przebywania w podziemiach, zbyt mocno raził ją światło dnia.

- Wolę noc, słońce boli w oczy. Nic nie widzę.

Poszukałem w plecaku okularów przeciwsłonecznych.

- Załóż. Za jakiś czas przyzwyczaisz się i będzie dobrze. Zjesz coś jeszcze?

- Tak, to z żółtym.

- Nie ma już kanapek z serem, zostały tylko z szynką.

- Też takie dobre?

- Spróbuj – podałem jej złożone kromki.

- Ojej, są jeszcze lepsze.

Jedząc zastanawiałem się, co robić dalej. Oczywiście należało iść do miasta, żeby odszukać Olę i Jurka, ale ni Łatwo mówić, ale wiedziałem, od czego zacząć? Logika podpowiadała mi, że skoro zostali aresztowani, należało najpierw odnaleźć ten areszt. „A jeżeli zreperowano już im umysł? Co wtedy zrobię?" – myślałem, a możliwość ta była tak porażająca, że aż jeżyły mi się włosy na głowie.

- Daj mi jeszcze to kolorowe – poprosiła Ninka z pełnymi ustami.

- Słodycze?

- Tak, jeśli ma taką nazwę. Dam ci w zamian... – namyślała się chwilę – halucynator.

- Skąd go masz?

- Jest pamiątką po mamie, ale nie mam nic innego do zaproponowania.

- Pokaż.

Odwróciła się, wyjęła urządzenie ze swego tobołka i podała mi. Do licha, niespodziewanie dostałem to, z powodu czego wpadliśmy w te wszystkie niesamowite tarapaty. Wreszcie miałem okazję obejrzeć ten cud techniki z bliska. Był wykonany z jakiegoś bardzo lekkiego i dobrze sprężynującego tworzywa, z boków miał wbudowane baterie słoneczne. Obok lewej baterii widać było chropowate wgłębienie, jakby po jakimś wyłamanym elemencie. Nie było to najwidoczniej zbyt poważne uszkodzenie, bo szybki, początkowo półprzeźroczyste, już po kilku minutach zaczęły migotać kolorowymi refleksami.

Założyłem halucynator. Leżał wyjątkowo wygodnie. Rozejrzałem się i aż podskoczyłem z wrażenia. Wstrętna, szara płyta, pod którą siedzieliśmy, mieniła się delikatnymi odcieniami błękitu. Zwisające z niej bure szmaty sprawiały wrażenie zasłon z miękkiego aksamitu, lecz to nie był koniec niespodzianek. Wokół roztaczała się soczysta łąka pełna bajecznie kolorowych kwiatów. Ani śladu ruin, zardzewiałego żelastwa, potrzaskanych płyt i słupów, i w ogóle, tego totalnego rozwaliska. Nie mówiąc już o pleniącym się wszędzie rachitycznym zielsku.

Spojrzałem na moją towarzyszkę podróży, ale zamiast mizernej, bladej Ninki w zbyt obszernyn dresie zobaczyłem dorodną dziewczynę w eleganckich spodniach i żakiecie. Nawet jej rozczochrane włosy tworzyły wyszukaną fryzurę.

- Co, robimy wymianę? – przynagliła.

- Robimy – przesunąłem halucynator na czoło.

Wyjąłem z plecaka i podałem jej tabliczkę czekolady. Zdjęła starannie barwny papierek, złożyła go starannie, schowała do kieszeni, po czym całą czekoladę zjadła za jednym zamachem.

- Jeszcze. Dam ci za to... halucynator.

- Masz drugi?

- Tak, pamiątkę po tacie.

- Na razie nie dostaniesz więcej słodyczy, bo takie łakomstwo nie wyjdzie ci na zdrowie – powiedziałem stanowczo. Gdyby zachorowała, miałbym przechlapane

- Czy coś tak pysznego może zaszkodzić?

- W nadmiarze na pewno.

Założyłem plecak i okutałem się burą szmatą, w której paradowałem w podziemiach. Wyglądałem jak skrzyżowanie wielbłąda z paragrafem , lecz zakładałem, że tak przebrany, z przepaską na oczach, nie zwrócę na siebie uwagi stróżów prawa. Nince też kazałem narzucić na siebie swoją szmatę. Oczywiście zaprotestowała.

- Po co? Moje wdzianko jest bardzo ładne, a te łachy śmierdzą .

- Nie dyskutuj, bo cię tu zostawię – postraszyłem ją. Wiadomo, dziewczyny w tych sprawach mają poprzewracane w głowach. Posłuchała. Ruszyliśmy na południe. Ku miastu.

ZNÓW W MIEŚCIE

Do miasta dotarliśmy mniej więcej po godzinie. Na wszelki wypadek założyłem halucynator i kazałem Nince założyć drugi. Była zachwycona.

- Adaś, jak to dobrze, że nie przehandlowałam z tobą drugiego halucynatora. Dzięki niemu wszystko jest przepiękne. Nie rozumiem, dlaczego niektórzy wolą mieszkać na dole, zamiast podziwiać ten piękny, górny świat. Nawet jeśli jest on nieprawdziwy. Gdybym miała wybór, za żadne skarby nie wybrałabym życia w podziemiach. Niestety, wybrali za mnie rodzice. Teraz na szczęście udało mi się stamtąd wydostać. Mam nadzieję, że nigdy tam nie wrócę.

- Pod warunkiem, że nikomu się nie przyznasz, skąd pochodzisz – przestrzegłem ją na wszelki wypadek.

- Nigdy – zawołała gwałtownie.

Właściwie Ninka miała rację. Wirtualny świat był wspaniały. Miasto nie było już brudnym morzem ruder. W którąkolwiek stronę nie skierowałem wzroku, wszędzie widziałem czyste, wygodne domy, ekskluzywne sklepy, zieleńce, szerokie ulice. Chodnikami przechadzali się eleganccy przechodnie, a jezdnią płynęła rzeka takich samochodów, że głowa boli. Najdziwniejsze było to, że przez halucynator nie widziałem innych halucynatorów.

Nadszedł czas by działać. Zaprowadziłem Ninkę do jakiejś kawiarni, zamówiłem „lody" i kazałem na siebie poczekać. Sam w tym czasie wyszedłem na ulicę i zaczepiłem pierwszego mijającego mnie mężczyznę.

- Hej – powiedziałem.

- Hej – odpowiedział uprzejmie pokazując w uśmiechu garnitur śnieżnobiałych zębów. Gotów byłbym się założyć o wszystkie oszczędności, że w rzeczywistości jest szczerbaty, jak płot Zefelków w Brzozowie.

- Potrzebna mi pomoc.

- Możesz na mnie liczyć. O co chodzi?

- Gdzie należy się zgłosić w sprawie felerników?

- To oczywiste. Do prokuratorii.

- Jak tam trafić?

- Pójdziesz prosto do końca tej ulicy, potem skręcisz w prawo, miniesz bank, skręcisz w lewo i zobaczysz duży przeszklony budynek z granatowym dachem.

- Dziękuję.

Pobiegłem we wskazanym kierunku. Wkrótce znalazłem się pod okazałą budowlą, dokładnie taką, jak ją opisał zagadnięty przechodzień.. Ponadto na frontonie wisiał szyld z informacją:

PROKURATORIA OKRĘGOWA
W LESNOWE

Kto by pomyślał! Nasza cicha Leśniówka awansuje do siedziby władz okręgowych zmieniając nazwę na idiotyczne Lesnowe! Zdjąłem halucynator, żeby zobaczyć, jak się sprawy naprawdę mają. Reprezentacyjny obiekt okazał się okazałą ruderą z dachem pokrytym dziurawą papą. Niemniej był on jednym z nielicznych budynków posiadających w oknach szyby. Przez chwilę obserwowałem wejście. Wchodzili do niej i wychodzili obdartusy z przepaskami na oczach oraz mężczyźni w czarnych kombinezonach. Ci pierwsi byli zapewne interesantami, ci drudzy – pracownikami.

Wróciłem do kawiarni. Do Ninki zdążyło już się przysiąść dwóch chłopaków, co wyraźnie sprawiało jej wielką satysfakcję.

- Adaś, poznaj moich nowych przyjaciół. To jest Iwo, a to Longin – przedstawiła ich.

- Cześć – podałem im kolejno rękę.

Uniosłem na chwilę halucynator, żeby sprawdzić, kim naprawdę są ci nowi znajomi Ninki. Oczywiście ujrzałem ich nie jako starannie ubranych, ostrzyżonych i wypucowanych młodych ludzi, lecz podstarzałych, obszarpanych i prawie łysych facetów. Obaj z dyskotekami na oczach.

Pomyślałem, że dobrze się składa, bo może więcej wiedzą na o funkcjonowaniu prokuratorii i postępowaniu z felernikami. Musiałem tylko odpowiednio pokierować rozmową. Na razie rozmawiali o występach jakiegoś zespołu hart bimbowego i konia z rzędem temu, kto wie, czym to jeść. Podejrzewałem, na podstawie uzyskanych doświadczeń, że pewnie kilku pomyleńców gra na patykach i pokrywkach. W podziw wprawiła mnie Ninka, sprawiająca wrażenie osoby doskonale obeznanej w temacie. Nawet od czasu do czasu wtrącała uwagi, które tamci przyjmowali z entuzjazmem.

- A ty? – zwrócił się do mnie Iwo, pewnie z zamiarem wciągnięcia do rozmowy.

- Mam inne zainteresowania.

- Jakie?

- Piszę pracę magisterską na temat prokuratorii i zbieram materiały na ten temat. – Mój Boże, jak ja łgałem!.

- E, jesteś z legislówki?

- Aha. Interesuje mnie, między innymi rzecz jasna, co różni ludzie wiedzą o samej instytucji, jaką mają opinię jej metodach działania i... w ogóle. Jesteście chłopakami z klasą, więc pewnie wiecie, o co chodzi. Umieszczę was przypisach do pracy – dodałem jako dodatkową zachętę.

- No to co chcesz wiedzieć?

- Jak jest zorganizowana prokuratoria?

- W ogóle?

- Oczywiście.

- Prosto. Prokuratoria generalna, potem landzka no i okręgowa. Przecież to oczywiste – wzruszył ramionami Iwo.

- Czym się zajmują stróże prawa?

- Nie świruj! Co to za pytania? Każdy to wie.

- Nie każdy. Są tacy, którzy myślą, że stróże prawa są do przeprowadzania staruszek przez jezdnię.

- A co to są staruszki? Nigdy nie słyszałem tego słowa.

„Ale numer! Podobno kobiety się nie starzeją, ale bez przesady. Ciekawe jak oni nazywają ludzi w sędziwym wieku? A może nie wiedzą, że się starzeją?" – zastanawiałem się, lecz pytanie raczej odpadało, sam musiałem udzielić odpowiedzi.

- Staruszki... – Szukałem gorączkowo jakiegoś wytłumaczenia. Wreszcie palnąłem: – ...to takie małe dziewczynki, które zgubiły się rodzicom. Tak je żartobliwie nazywamy.

O dziwo. Uwierzyli.

NA TROPIE OLI I JURKA

W czasie dalszej rozmowy dowiedziałem się wszystkiego, co chciałem. Najważniejszą informacją było to, że felerników przewożono do ośrodka lecznicy państwowej w Brezlo i tam poddawani reperacji mózgu. Brezlo, to rzecz jasna wcześniejsze Brzozowo. Postanowiłem natychmiast tam się udać. Niestety, Ninka nie miała na to najmniejszej ochoty. Poprosiłem żeby na chwilę wyszła ze mną na zewnątrz.

- Posłuchaj, mam pilną sprawę do załatwienia i naprawdę, nie mam czasu przesiadywać w kawiarni.

- Podobają mi się moi nowi przyjaciele. Zostańmy z nimi. Iwo mówił, że mogłabym się wprowadzić do rezydencji jego siostry, która wyjechała za granicę. Tobie również pomogliby znaleźć jakieś mieszkanie. Co Adaś? Zostaniemy?

- Nie mogę. Poza tym nie obiecuj sobie zbyt wiele po tych obietnicach. Rezydencja jest najprawdopodobniej jakąś ponurą ruderą podobną do innych.

- Możliwe, lecz nie mam najmniejszego zamiaru zdejmować halucynera. Co z tego, że pokazuje nieprawdziwą rzeczywistość, skoro ta rzeczywistość jest piękna. Mając wybór między koszmarną prawdą a wspaniałą ułudą, wybieram ułudę. Domyślam się, że to, co chcesz zrobić jest niebezpieczne. Nie chcę ryzykować.

- Nie wymagam tego od ciebie, jednak nie mogę zostać. Sprawa, którą mam załatwić jest zbyt ważna.

Rozstaliśmy się, jak sądziłem, na zawsze. Było mi to nawet na rękę, gdyż bez dziewczyny miałem większą możliwość manewru. Ruszyłem w kierunku Brzozowa czyli teraz Brezlo.

Szedłem główną, wielkomiejską ulicą tętniącą życiem. Po obu stronach ciągnęły się ekskluzywne sklepy, kawiarnie i restauracje. Przez pootwierane okna na piętrach można było dojrzeć jasne, czyste wnętrza, a na balkonach kaskady kwiatów. Jednym słowem schludność i przepych. Wystarczyło jednak unieść halucynator, żeby jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znaleźć się w tłumie obdartusów między ruderami, które lada moment groziły zawaleniem.

Idąc starałem się odnaleźć cokolwiek, co przypominałoby nasze czasy. Ale niestety, nie pozostał żaden ślad. No, może tylko opadający teren, chociaż dużo łagodniej.

Mniej więcej po kwadransie spytałem jakiegoś przechodnia o lecznicę i już po godzinie byłem na miejscu. Lecznica znajdowała się za grodzeniem z siatki. Siatka jak na tutejsze warunki była dość solidna, chociaż tu i ówdzie dziurawa.

Jednopiętrowy budynek w głębi miał kształt podkowy. Wszystkie okna bez wyjątku były zabezpieczone gęstymi kratami. Ponadto w stróżówce przy bramie siedział strażnik bez halucynera. Drugi stał przy drzwiach. Wyglądało to bardziej na więzienie niż na szpital.

Na pierwszy rzut oka miałem niewielką szansę, żeby wślizgnąć się do środka niespostrzeżenie. Postanowiłem najpierw solidnie rozeznać sytuację, więc obszedłem plac dookoła, żeby sprawdzić, jak się sprawy mają z innych stron lecznicy. Przecież taki obiekt musiał mieć jakieś dodatkowe wejścia, chociażby dla zaopatrzenia

Liczyłem też na to, że przy panującej tu powszechnej bylejakości, znajdę jakąś dziurę w murze, drzwi zasłonięte szmatą, albo cokolwiek, co można by sforsować.

Niestety, poza dziurami w ogrodzeniu lecznica ze wszystkich stron była dobrze strzeżona. Nawet nie chciałem myśleć, dlaczego zastosowano aż takie środki ostrożności.

Intuicja podpowiadała mi, żebym stąd zmykał, gdyż wzbudzałem zainteresowanie stróżów, którzy podejrzliwie patrzyli na moje buty. Rozejrzałem się za jakimś miejscem, w którym można by spokojnie i pomyśleć, i mieć lecznicę na oku. Mój wzrok przyciągnął napis:

KOFEINENCJA ROMANTYCZNA

ZAPRASZAMY

Poszedłem za strzałkami i trafiłem na lokal na tarasie z widokiem na lecznicę. Była to wykwintnie urządzona kawiarnia. Stoliki z marmurowymi blatami stały wśród palm i egzotycznych kwiatów jak w jakimś rajskim ogrodzie. Niestety, bez halucynatora taras był grożącym runięciem balkonem, marmurowe blaty – płytami chodnikowymi, a palmy i kwiaty – uschłymi badylami, na których gdzieniegdzie dyndały czerwone, żółte i niebieski skrawki papieru.

Usiadłem przy balustradzie i zamówiłem, gorąco polecany przez wyfraczonego kelnera, jakiś napój o idiotycznie brzmiącej nazwie. Zresztą, i tak nie zamierzałem go pić.

Myślałem intensywnie, lecz żaden, ale to żaden pomysł nie przychodził mi do głowy, a tu już zapadał zmierzch. Lecznica wyglądała na wymarłą. Nikt z niej nie wychodził i nikt do niej nie wchodził. Zważywszy na charakter obiektu, było to dziwne. W końcu leżeli tam jacyś pacjenci, musiał ich ktoś odwiedzać, a jeżeli nie był to akurat dzień odwiedzin, to powinien ktoś tam pracować i jeśli już nie wychodzić na zewnątrz, to przynajmniej mignąć w którymś z okien. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że strażnicy pilnują pustej lecznicy.

Rozejrzałem się za kimś, z kim mógłbym sobie uciąć pogawędkę i co nieco wysondować. Zamierzałem nadal udawać studenta legislówki piszącego pracę dyplomową. To dawało możliwość zadawania najbardziej głupich pytań, bez wzbudzania podejrzeń (przyznajcie, że miewam genialne pomysły).

Przy następnym stoliku siedziała samotna dziewczyna i od czasu do czasu spoglądała w moją stronę. Nieco dalej jakaś zauroczona sobą para. Bardziej w głębi chłopak czytający gazetę. Uchyliłem lekko halucynator żeby zobaczyć, jak się naprawdę sprawy mają. I dobrze zrobiłem. Samotna dziewczyna wyglądała najwyżej na dziesięć lat, więc niewiele wiedziała o sprawach mnie interesujących, zakochani parą tak zgrzybiałych staruszków, że wątpiłem, czy cokolwiek jeszcze pamiętają, zaś chłopak czytający gazetę - dobrze ubranym facetem, z prawdziwą gazetą i... bez halucynatora.

Nie miałem wątpliwości, był stróżem prawa w cywilu, albo jakimś tajniakiem. Bez halucynatora musiał zauważyć, że mimo okrywającej mnie burej szmaty, różnię się od innych ogromnym garbem, który w żadnym przypadku nie może być naturalny. Może też zauważył i buty, jakich tutaj absolutnie nikt nie nosił, chociaż pod grubą warstwą błota wyniesionego z podziemi trudno było to dostrzec.

Zastanawiałem się, czy ów tajemniczy osobnik mnie śledzi, czy po prostu przyszedł sobie przypadkowo. Nie pamiętałem czy już był tu przede mną. Wyjrzałem za balustradę, żeby sprawdzić, czy w razie czego można przez nią uciec. Z ulgą stwierdziłem, że tak (ryzykując jedynie skok z wysokości trzech metrów). Na razie czekałem.

Tymczasem słońce zaszło za horyzont i robiło się coraz ciemniej. Kawiarnia powoli pustoszała, lecz facet z gazetą ciągle siedział pogrążony w lekturze. Nagle poczułem kopnięcie prądu w lewą skroń. Dokładnie w tym miejscu, w którym przylegało chropowate miejsce po jakimś wyłamanym elemencie. Odczucie było tak nieprzyjemne, że w tym miejscu pod przepaskę odruchowo wsadziłem palec. Ale kopanie, nie ustało.

Musiałem coś z tym zrobić. Żeby choć trochę zejść z pola widzenia faceta z gazetą ostrożnie przesunąłem się za jakiś badyl i zdjąłem halucynator. To, co zobaczyłem wprawiło mnie w osłupienie. W halucynerze dziewczyny przy sąsiednim stoliku, zamiast kolorowych refleksów, pulsowały fioletowe fale. Jej głowa chwiała się sennie to w lewo, to w prawo. Spojrzałem po innych - wszędzie podobnie. Chwilę później ludzie jak automaty zaczęli wstawać ze swoich miejsc i kierować się ku wyjściu.

Obejrzałem swój halucynator. W nim również falowało fioletowo. Nie trzeba było być Einsteinem żeby odgadnąć, że jest to jakaś forma manipulacji mózgiem. Nie miałem czasu zastanawiać się, jaka. Należało teraz wraz z innymi wyjść nie zwracając na siebie uwagi. Kiwać sennie głową, to żadna sztuka, musiałem jednak założyć na oczach tę idiotyczną „dyskotekę", a Bóg raczył wiedzieć, co wtedy stałoby się z moim mózgiem. Po krótkim namyśle złożyłem w kostkę higieniczną chusteczkę do nosa i odizolowałem nią skroń od kopiącego miejsca, po czym wraz z innymi bezpiecznie opuściłem kawiarnię.

***

Przesunąłem halucynator na czoło i stojąc w załomie muru pod kawiarnią, obserwowałem ulicę i próbowałem zrozumieć, co się dzieje. Ludzie wyglądali jak pijani lunatycy. Mimo tego z zadziwiającą zręcznością włazili po sękatych żerdziach do swoich dziur. Niektórzy, najwidoczniej zmorzeni snem, zanim zdążyli dotrzeć do domów, padali byle gdzie i tak zasypiali. Już wkrótce plac i przyległe ulice zaścielali pokotem śpiący ludzie. Również się położyłem i znad ramienia podłożonego pod brodę, obserwowałem, co będzie dalej.

Strażnicy pilnujący lecznicy opuścili swoje stanowiska i ruszyli wolnym krokiem na obchód placu. Przyświecając sobie miniaturowymi latarkami o bardzo ostrym, fioletowym świetle, sprawdzali, czy wszyscy zasnęli. Najwyraźniej byli pewni, że tak, bo zajęci rozmową, wykonywali swoją pracę byle jak po łebkach. W moją stronę nawet nie spojrzeli. Z głębi jednej z ulic nadeszła para stróżów prawa i wdali się w pogawędkę ze strażnikami, którzy okrążyli właśnie plac.

- W porządku? – spytał ten z budki.

- W porządku – odpowiedzieli stróże. Porozmawiali ze dwie minuty, a potem żartując, ruszyli w lewo i znikli mi z pola widzenia.

Przebiegłem przez plac, minąłem pustą budkę i dopadłem drzwi lecznicy. Ustąpiły z łatwością, co mnie trochę zaskoczyło, bo spodziewałem się, że będę musiał szukać jakiegoś mniej oficjalnego wejścia.

Krótki, zakończony ślepo korytarz był jasno oświetlony. Poszukałem wzrokiem źródła światła, ale nie znalazłem. Sufit, ściany i podłoga zaskakiwały nieskazitelną bielą. Czyli, gdy chcieli, potrafili zrobić porządek. Zamknąłem za sobą starannie drzwi i przez chwilę nadsłuchiwałem. Panowała idealna cisza. Zastanawiałem się, co robić dalej. Musiało tu być jakieś przejście. Ślepy korytarz, i to na dodatek strzeżony, byłby najgłupszą rzeczą pod słońcem.

Ruszyłem wolno przed siebie. Kiedy doszedłem do przeciwległej ściany, ta po prostu rozsunęła się, ukazując przestronny hol. Na wprost biegły szerokie schody, po których właśnie wchodziły dwie kobiety w białych kombinezonach. Były tak zajęte rozmową, że nie raczyły się nawet obejrzeć, żeby sprawdzić, kto wszedł. A może nie usłyszały szelestu rozsuwających się drzwi? Nieważne. W każdym razie mnie nie zauważyły.

W lewo i prawo ciągnęły się dwa skrzydła korytarzy, też białych i jasno oświetlonych, i bez widocznych na pierwszy rzut oka drzwi. Nigdzie dostrzegłem żadnego załomu, filaru, czy czegokolwiek, co w razie niebezpieczeństwa dałoby mi schronienie. Istniało niebezpieczeństwo, że gdy ktoś z personelu mnie zobaczył, będę spalony. Z drugiej zaś strony każda chwila była drogocenna, ponieważ i tak zmarnowałem już sporo czasu. Rozsądek podpowiadał, żeby się wycofać i pomyśleć, jak mniej ryzykownie odnaleźć Olę i Jurka, lecz z drugiej strony dotąd szczęście mi dopisywało. Postanowiłem więc nie obrażać go brakiem zaufania i dać mu jeszcze jedną szansę.

JESZCZE JEDEN NOWOSIELSKI

Wbiegłem schodami na piętro. Tam też znajdował się hol, tylko mniejszy, i trzy pary dobrze widocznych drzwi. Na drzwiach tych na wprost świeciło czerwone kółko, a pod nim napisane było wołowymi literami: STOP, TRWA PROCES R. Nad drzwiami po prawej widniała tylko skromna informacja: „Oddział zamknięty", chociaż przekornie był on otwarty na oścież. Widoczny w głębi korytarz świecił pustkami. Zza nie oznakowanych żadnym napisem drzwi po lewej stronie, dobiegała ożywiona rozmowa i od czasu do czasu wybuchy śmiechy. Przynajmniej

wiedziałem, gdzie nie należy zaglądać, niemniej pozostawały jeszcze dwie możliwości i musiałem szybko wybierać.

Przekornie wydedukowałem, że najciekawsze są miejsca zakazane i ruszyłem na wprost. Czerwone kółko przez kilkanaście sekund migotało, jakby nie mogło się zdecydować czy wszcząć alarm, czy dać sobie spokój, lecz wreszcie drzwi stanęły przede mną otworem. Kiedy tylko przekroczyłem próg, natychmiast się zamknęły. Było ciemno jak nie powiem gdzie. Po omacku wyjąłem z plecaka latarkę i rozejrzałem się. Pierwszą rzeczą jaka zwróciła moją uwagę była potężna, metaliczna kopuła stojąca na posadzce.

- Protestuję, protestuję, żądam natychmiastowego uwolnienia – usłyszałem. Głos najwyraźniej dochodził spod kopuły.

- Kimkolwiek jesteś, przestań drzeć gębę – rzuciłem ze złością, bo tylko tego brakowało, żeby ściągnął mi na głowę personel.

- Nie jestem żaden kimkolwiek, tylko Ad Nowoselsky i żądam uwolnienia.

Zamurowało mnie.

- Kim jesteś? – spytałem jeszcze raz, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości.

- Powiedziałem już, Ad Nowoselsky. A ty kim jesteś?

- Adam Nowosielski.

- Jak? – teraz on niedowierzał.

- Adam Nowosielski.

- Adam? A nie Hieronim?

- Z całą pewnością Adam – zapewniłem go.

- Może przysłał cię Hieronim?

- Niestety nie. Znasz go?

- Wyciąg mnie stąd, bo już mnie śrubuje.

Nie wiedziałem co to znaczy, ale bez trudu domyśliłem się, że zaczyna być z nim źle i trzeba działać, tym bardziej, że jakimś niesamowitym zbiegiem okoliczności, facet nazywał się podobnie jak ja i znał kogoś o imieniu mojego przodka.

Obszedłem kopułę dookoła, ale ze wszystkich stron wyglądała identycznie. Nie było żadnego uchwytu ani dźwigni, ani w ogóle niczego, co pozwoliłoby bądź unieść kopułę, bądź pod nią zajrzeć.

- Jak się do ciebie dostać?

- Wciśnij pstrycznik na pulpicie.

Rozejrzałem się. Rzeczywiście w kącie stało coś w rodzaju lady, a na nim rząd kolorowych okienek i dwa rzędy białych przycisków. Żadnych oznaczeń, podpisów, czy znaków, na podstawie których można by się domyślić co do czego.

- Ej, Ad, czy wiesz, jak to obsługiwać?

- Pośpiesz się, bo już nie mogę...

- Boję się, że niechcący włączę alarm.

- Ale mi się trafił głuptak wybawca. Przecież to oczywiste, ostatni guzik!

- No, no. Przyganiał kocioł garnkowi. Sam jesteś głuptak, skoro dałeś się wsadzić pod ten baniak – odciąłem się, ale zrobiłem jak radził.

Zabłysło światło i kopuła z cichym brzęczeniem uniosła się do góry odsłaniając Ada Nowoselskyego.

Miał najwyżej rok więcej niż ja. Półleżał w fotelu przypominającym fotel dentystyczny. Nie licząc unieruchamiających go pasów oraz kabli, przyssawek i innych szpargałów oplątujących jego głowę, był goły, jak święty turecki.

- No, nareszcie, uwolnij mnie wpierw od bioreceptorów, bo mi się już mózg lasuje. Tylko uważaj, żeby nie zewrzeć styczników. Śpieszniej, śpieszniej... – ponaglał.

Prawdę mówiąc w ogóle nie miałem zielonego pojęcia, jak zdjąć z jego głowy to wszystko, co miał na niej zainstalowane, postanowiłem więc załatwić wszystko hurtem. Zebrałem w garść całą wiązkę przewodów i szarpnąłem z całej siły.

- Uuuu – zawył Ad, a potem bluznął takimi przekleństwami, że uszy mogły spuchnąć. Gdyby miał wolne ręce, pewnie rzuciłby się na mnie z pięściami.

- Zatkaj się, bo zwabisz tu wszystkich stróżów z promienia kilometra.

- Jesteś najdurniejszym świrem jakiego spotkałem. Chcesz mnie oskalpować, czy co?

- Skoroś taki wrażliwy, trzeba było poprosić o przysługę kogoś z personelu. Pewnie zrobiłby to delikatniej – odgryzłem się, ale uwolniłem jego ręce. – A teraz co?

- Ja uciekam, ty rób co chcesz.

- Chcesz uciekać na golasa?

- Uważasz, że jest to wystarczający powód, żeby zrezygnować z ucieczki?

- No nie, ale owiń się tym – podałem mu wierzchnią szmatę, którą ciągle miałem na sobie.

- Dzięki, chociaż wolałbym to, co masz pod spodem.

- Ja też wolę, więc nic z tego. Szukam chłopca i dziewczyny dokładnie w moim wieku i podobnie ubranych. Może widziałeś ich przypadkiem?

- A jeśli widziałem, to co?

- Od tego zależy moje dalsze postępowanie. Albo będę dalej przeszukiwał lecznicę, albo... zastanowię się, co dalej robić.

- Mógłbym ci na ich temat coś powiedzieć, lecz nie wiem, czy jesteś osobą godną zaufania.

- Zwariowałeś? Uratowałem ci pamięć, a ty wątpisz czy mi ufać?

- Możesz być podstawiony, żeby wyciągnąć ze mnie to i owo.

- Nie interesuje mnie żadne to, ani owo. Nie proszę o zdradzanie jakichkolwiek tajemnic. Zresztą, one w ogóle mnie nie obchodzą. Szukam tylko swoich przyjaciół, którzy przypadkiem znaleźli się w tarapatach.

- Tak? A dlaczego powiedziałeś, że nazywasz się Nowoselski?

- Nowosielski – poprawiłem go. – Co w tym dziwnego?

- Przychodzisz nie wiadomo skąd, mówisz, że nazywasz się tak jak ja i nie widzisz w tym nic dziwnego?

- Nie! – wrzasnąłem, bo zaczynałem mieć już dość tej gadaniny. – Długo masz zamiar jeszcze tak bredzić?

- Bo co?

- Pstro! Rób co chcesz, ja idę – skierowałem się do drzwi.

- Przestań świrować – Ad wyprzedził mnie i rozkładając szeroko ręce zagrodził mi drogę. – Chcesz wpaść w ich łapy? Nic mi do tego, ale przy okazji możesz i mnie wsypać. Z takim głupkiem jak ty, nigdy nic nie wiadomo.

- O ile mnie pamięć nie myli, też chciałeś uciekać.

- Ale z głową na karku, ty ciężko myślący cymbale jeden.

- Uważaj, zakuta pało!

- Oślak.

Cholera, ani w przeszłości, ani w przyszłości nie mogłem spotkać żadnego życzliwego mi Nowosielskiego. Jakkolwiek tego z siedemnastego wieku dało się usprawiedliwić, to ten tutaj był kompletnie kopnięty. Niemniej posiadał wiedzę, która mogłaby mnie naprowadzić na trop Oli i Jurka. Kiedy więc wyczerpaliśmy cały zasób epitetów, spytałem pojednawczym tonem:

- Czy oprócz uwag co do stanu mojego umysłu, masz jakieś konkretne propozycje?

- Jak pora jest teraz na zewnątrz?

- Późny wieczór. W każdym razie, mniej więcej pół godziny temu, prawie wszyscy gremialnie układali się do snu.

- No to musisz poczekać jeszcze dwie, trzy godziny żeby stąd bezpiecznie wyjść.

Ad twierdził, że personel też już wkrótce pójdzie spać i do rana nikt nas nie będzie niepokoił. Nie wydawało i się to aż takie optymistyczne.

- Jak to, nie ma żadnych nocnych dyżurów?

- Niby po co? Porządni obywatele kimają, felernicy siedzą w podziemiach lub są zamknięci w reperownicach. Nie ma kogo pilnować.

- A stróże prawa? Sam widziałem jak patrolowali miasto.

- Przespacerowali się, a teraz chrapią aż miło.

Ad zdawał się być doskonale zorientowany w panujących tu obyczajach. Jak się wkrótce przekonałem, nie była to wiedza zdobyta z halucynerem na oczach. Twierdził, że pochodzi z dystynkckiej, czyli bogatej rodziny wysokich urzędników państwowych. Nie wyjaśnił dlaczego wyłamał się z rodzinnej tradycji i zamiast robić karierę polityczną, skończył jako felernik, a nawet został poddany reperacji mózgu. Wspomniał tylko niejasno o jakimś mistrzu i o dziewczynie, której nie chce stracić... Zresztą, prawdę mówiąc nie naciągałem go za bardzo na zwierzenia. W pierwszej kolejności interesowały mnie wiadomości związane z Olą i Jurkiem, w drugiej – wspomniany przez Ada Hieronim.

Opuściliśmy kopułę i usiedliśmy na podłodze, opierając się o nią plecami. Poszperałem w bocznej kieszeni plecaka i znalazłem jeszcze dwie kanapki i trzy jabłka. Chociaż byłem już porządnie głodny i sam zjadłbym wszystko za jednym

zamachem, postanowiłem podzielić się z Adem. Liczyłem, że w ten sposób kupię potrzebne informacje. Cena nie byłaby więc wysoka.

Nie myliłem się. Ad z wielkim apetytem zabrał się do pałaszowania. W przeciwieństwie do Bajany i Ninki zdawał się wiedzieć, co je.

- Masz więcej? – spytał połykając ostatni kęs.

- Nie. Moi przyjaciele mają.

- E tam – machnął lekceważąco ręką. – Już nie mają. Elita wszystko im wyżarła. Białe bułeczki z szyneczką i prawdziwe owoce, to niepodważalny dowód, że można ci ufać. Waszego jedzenia nawet najtajniejsze służby prokuratorii generalnej nie potrafią sfałszować.

Aż podskoczyłem z wrażenia.

- Czy jest ktoś, kto dostarcza wam żywność z innych czasów?

- No, zdarza się. Jednak są tacy, którzy chcą koniecznie zdobyć wehikuł czasu i podbić jakąś bogatą epokę w przeszłości. Oni wiedzą, skąd są ci twoi zgubieni, dlatego zabrali ich do Centrali. Tam już mają sposoby, żeby wydobyć z nich prawdę. Pewnie i na ciebie przygotowali pułapkę. Ciekawe jaką, bo przecież zawsze możesz czmychnąć sto lat do tyłu lub do przodu, no nie?

- Oczywiście.

- Skąd przybywasz?

- Z początku dwudziestego pierwszego wieku.

- Sprzed totalu nukler jak rozumiem?

- Czym jest ten total nukler?

- Wielka totalna wojna atomowa.

- Kiedy wybuchła?

- W czterdziestym roku przed naszą erą i trwała siedem lat.

Niestety, nie potrafił powiedzieć, jak tą datę przełożyć na nasz kalendarz. Trudno się dziwić, ja też nie potrafię z marszu posługiwać się kalendarzem juliańskim[5], chociaż był on w użyciu do szesnastego wieku.

- A kim jest Hieronim?

[5] Kalendarz juliański – wprowadzony przez Juliusza Cezara w 46 r. p.n.e. Obowiązywał do czasu wprowadzenia w 1582 r. kalendarza gregoriańskiego.

- To taki dziwny facet, którego interesują tylko ludzie o nazwisku Nowoselski. Jego też próbowali złapać, ale kiedy już go prawie mieli, zjawiła się jakaś kobieta i go zabrała. Nie znam bliższych szczegółów, bo tylko o tym słyszałem.

- Czy kiedyś skontaktował się z tobą?

- Prawdę mówiąc nie, ale myślałem, że ty jesteś nim, albo od niego.

- Znasz innych Nowosielskich, z którymi się kontaktował?

- Znałem, ale... wynieśli się do innych czasów. Teraz czekam na swoją kolej.

Z tego, co mówił Ad, Hieronim był o wiele bardziej tajemniczą osobą, niż przypuszczałem. Odwiedził z jakiegoś powodu tę epokę kontaktując się ze swoimi dalekimi krewnymi. Być może Ad był moim którymś z kolei potomkiem... Moim albo Marka. Jeśli moim, powinien znać zapis w testamencie Hieronima. Chociaż być może na przestrzeni nie wiadomo ilu wieków, ta rodzinna historia dotycząca zegara i portretu została zapomniana. Poza tym przy Hieronimie pojawiła się kobieta. Kim była?

- Skąd wiesz, że się doczekasz?

- To dla mnie jedyny ratunek. Sam widziałeś, co chcieli mi zrobić. Słuchaj, nie muszę czekać na Hieronima, chętnie ucieknę razem z tobą. Masz przecież ten wehikuł, prawda?

Pod moją czaszką zapaliło się ostrzegawczo czerwone światło, ale obojętnie powiedziałem:

- No jasne.

- Gdzie go masz?

- Jest dobrze schowany.

- Może w tym tobole na plecach? – zaczął obmacywać mój plecak.

Jego wścibstwo było wkurzające.

- Najważniejsza część wehikułu została dobrze ukryta – skłamałem.

- Gdzie?

- Za dużo chcesz wiedzieć.

- Być może, ale gdyby teraz cię złapali, nie mógłbyś uciec – wydało mi się, że w jego oczach zapaliły się złe błyski.

Zastanawiałem się, jaką zastosować taktykę. Konsekwentnie trzymać się wersji, że nie mam przy sobie kompletnego urządzenia do podróży w czasie, czy wymyślić coś innego. Zostałem przy pierwszej wersji.

- Byłyby kłopoty – stwierdziłem wykrętnie.

- Kiedy już stąd uciekniemy, pokażesz mi ten wehikuł?

- Tak, ale najpierw zaprowadzisz mnie do tej Centrali i pomożesz dotrzeć do Oli i Jurka.

- Dam ci dobrą radę, cofniemy się parę lat do tyłu do jakiejś bezpiecznej epoki, a później przesuniemy w miejsce, w którym są twoi przyjaciele, i wrócimy po nich.

Już dawno skorzystałbym z tego pomysłu, gdybym mógł, ale nie zamierzałem się do tego przyznawać.

- Nie, najpierw muszę ich odnaleźć.

- Dlaczego?

- Bo tak chcę.

- To jest głupi pomysł.

- I co z tego? Bardzo cenię swoje pomysły, nawet te najgłupsze.

- Rób jak uważasz, tylko żebyś potem nie żałował – odwrócił się obrażony.

Zapadło ponure milczenie. Dookoła panował idealny spokój, lecz mimo tego wyczułem niebezpieczeństwo. Intuicja podpowiadała mi, że należy zrobić coś ważnego, ale ja, chociaż wytężałem umysł do granic wytrzymałości, nie miałem zielonego pojęcia co. W końcu wyjąłem ukradkiem z plecaka puszkę po landrynkach i wsunąłem ją za koszulę. Na tym skończyła się moja inwencja.

Spojrzałem na zegarek. Minęła już północ.

- Może wyjdziemy? Jest już środek nocy.

- Myślę, że to odpowiednia pora.

Pozbieraliśmy się z podłogi i podeszliśmy do drzwi. Gdy te rozsunęły się cicho, zamarłem z przerażenia. Ujrzałem pięciu strażników z wycelowanymi w nas automatami.

Nie było sensu stawiać oporu. Uniosłem ręce do góry w geście kapitulacji.

WPADKA

Skuto nas kajdankami i popychając bronią, wyprowadzono na dach. Tam już czekał helikopter. Wszystko wskazywało na to, że zastawiono na mnie pułapkę, w którą wlazłem niczym ostatni przygłup. Należało tylko teraz rozstrzygnąć, jaką rolę odegrał w tym wszystkim Ad. Był przypadkową ofiarą, celowo użytą przynętą, konfidentem prokuratorii czy jej agentem? Od prawidłowej odpowiedzi na to pytanie wiele zależało. Miałem przecież zegar Hieronima, który wraz ze mną wpadł w łapy stróżów prawa, a przecież Ad uprzedził mnie, że są tacy, którzy chcą zdobyć wehikuł czasu.

- Gdzie nas wiozą? – spytałem szeptem.

- Prawdopodobnie do Resowi, a może nawet Edenu.

Domyśliłem się, że Resowia to Rzeszów, ale Eden? Chyba nie raj, czy jakaś inna kraina szczęśliwości? Wszystko jedno.

Z poczuciem bezsilności patrzyłem przez okno na przesuwające się w dole krajobrazy. Aż po horyzont rozpościerało się ponure pustkowie bez śladu, tak normalnych w naszych czasach, szachownic pól, lasów, zagajników, wiosek, sieci dróg i ścieżek... Tu tylko miejscami, niby bezludne wyspy, czerniły się skupiska ruin. Wyjątkowo jasno świecący księżyc, nadawał tej scenerii upiornego, prawie nierealnego charakteru. „A więc taki los czeka naszą Leśniówkę. Może nie tylko Leśniówkę, lecz cały świat" – myślałem z mieszaniną irytacji i żalu. – „Czy to możliwe, że ludzkość okaże się aż tak głupia?"

- Jeżeli możesz, zrób użytek z wehikułu czasu – szepnął mi do ucha Ad.

- Mówiłem ci już, nie mogę.

- Przekupię pilnowaczy.

- Ciekawe czym?

- Zostaw to mnie.

- Proszę bardzo, tylko na wehikuł nie licz, dopóki nie odnajdę... wiesz kogo.

- Rozkazuję natychmiast ścichnąć! – wrzasnął jeden z pilnujących nas ludzi.

Znów zwróciłem wzrok ku oknie. Ze zdumieniem stwierdziłem, że lecimy nad wodą. Wielką wodą. Nie sposób było dostrzec przeciwległego brzegu. W moich

czasach do morza było jakieś dziewięćset kilometrów w linii prostej, tymczasem nie pokonaliśmy więcej niż sto. Czyżby aż tak podniósł się poziom Bałtyku?

Mniej więcej po godzinie pojawiła się przed nami ogromna wyspa. W miarę zbliżania się do niej, rozróżniałem coraz więcej detali, szczególnie że wschodzące właśnie słońce coraz skuteczniej rozpraszało mrok.

Jeżeli wyspa nazywała się Edenem, w pełni zasługiwała na tę nazwę. Wśród bujnej roślinności leżały rozrzucone białe pałacyki, każdy otoczony był starannie utrzymanym ogrodem z fontanną i altanką. W centrum, na idealnie okrągłym placu, stał pięciokątny gmach pokryty szklaną kopułą wyglądający, który wyglądał na siedzibę jakichś władz wyspy albo nawet całego kraju. Od tego placu rozchodziły się promieniście ulice połączone regularnie przecznicami. Odniosłem wrażenie, że patrzę na ogromną, pajęczą sieć. Chyba nie bez powodu.

Maszyna wyraźnie obniżyła lot. Obserwowałem z napięciem teren, żeby na wszelki wypadek mieć chociaż śladowe rozeznanie w topografii, lecz najwidoczniej strażnicy odgadli moje intencje i uznali, że bezpieczniej będzie, jeśli mi to uniemożliwią. Usłyszałem dziwne szczęknięcie i odruchowo odwróciłem głowę. Zdążyłem jeszcze zauważyć wycelowaną w siebie lufę pistoletu. Ogarnęła mnie ciemność.

***

Kiedy wróciłem do przytomności, leżałem obok Ada na ceratowej leżance. Usiadłem i rozejrzałem się. Pomieszczenie wyglądało na więzienną celę, okno było zabite czarną płytą i dodatkowo zakratowane, a drzwi z wziernikiem nie miały od zewnątrz klamki. Poza leżanką w pomieszczeniu nie było żadnych innych mebli, tylko u sufitu wisiała żarówka zabezpieczona kloszem ze zbrojonego szkła. Spojrzałem na zegarek, żeby sprawdzić godzinę – niestety, zniknął. Rozejrzałem się za plecakiem – też przepadł. Przestraszony dotknąłem brzucha. Wyraźnie wyczułem pudełko po landrynkach i to nieco mnie uspokoiło. Bez tarczy zegar Hieronima był zwykłym zegarem, więc istniała szansa, że nie zwrócą na niego uwagi. Najwyżej będą próbowali odgadnąć, po co targam ze sobą taką niepraktyczną rzecz.

Jak powiedziałem pomieszczenie było prawie puste, ściany gładkie, jednak postanowiłem zachowywać się w sposób nie wzbudzający podejrzeń. Czyli po prostu położyłem się, zamknąłem oczy i udawałem, że śpię. Rzecz jasna zaraz w głowie zaczęły mi się kłębić najczarniejsze myśli. Próbowałem wszystkie ostatnie wydarzenia ułożyć w jakąś logiczną całość i wypracować dalszy sposób postępowania. Nie ulegało wątpliwości: moi porywacze trafnie przewidywali moje zachowanie i dzięki temu, jak na postronku, przyprowadzili mnie aż tutaj.

Zrobiłem podsumowanie. Ich celem były podróże w czasie i wiedzieli, że mogą ten cel osiągnąć dzięki nam. Wcześniej ujęli Olę i Jurka, ale przy nich nie znaleźli niczego podejrzanego. Teraz przeszukali mnie, chociaż niezbyt dokładnie (ja na ich miejscu rozebrałbym się do skarpetek). Ola z Jurkiem najprawdopodobniej coś nakłamali, żeby zyskać na czasie. Tylko co?

Mijały długie minuty a Ad ciągle spał. I to wydało mi się dziwne, a nawet podejrzane. Skoro razem zostaliśmy uśpieni, więc mniej więcej razem powinniśmy się obudzić. Jego chrapanie mogłem zinterpretować tylko w jeden sposób: najpierw załatwili mnie, potem obgadali z nim plan działania i dopiero wtedy uśpili. Niestety, zaraz naszły mnie wątpliwości, gdyż Ad, jako lepiej znający tutejszą rzeczywistość, mógł być bardzo pomocny i wgłębi ducha chciałem wierzyć, że jest po mojej stronie. „A jeżeli się mylę? Jeśli jest tylko mniej odporny na środki nasenne? A gdy jest, czy różnica może być aż tak znaczna? A może dostał większą dawkę?" – hamletyzowałem. Jakieś pół godziny później Ad otworzył oczy, przeciągnął się, rozejrzał i powiedział:

- Widzisz świrze, co narobiłeś? Gdybyś mnie posłuchał, już dawno byłoby po kłopotach.

- Kłopoty to ja mam przez ciebie – nie była to prawda, chciałem się tylko odciąć, a na celniejszą ripostę brakło mi refleksu.

- Tere fere kuku – zrobił palcem kółko na czole.

Zanim zdążyliśmy się na dobre pokłócić, wszedł strażnik.

STARY ZNAJOMY W NOWYM WYDANIU

- Masz iść na posłuchanie do pana władzy – wskazał na mnie.

Bez zbędnych pytań ruszyłem za nim. Przeszliśmy przez krótki korytarz, wsiedliśmy do windy i już po kilkunastu sekundach wysiedliśmy bezpośrednio w gabinecie szefa. Moje zdumienie graniczyło z osłupieniem, gdy za biurkiem ujrzałem tego samego łysego faceta, któremu, jako szefowi TOR-u, przedstawił mnie Bajana. Tylko że tutaj siedział za biurkiem z komputerem i był ubrany bordowy mundur ze złotymi guzikami. Oczywiście pomieszczenie w niczym nie przypominało tamtej rudery, wręcz przeciwnie, było nadzwyczaj przestronne i wytwornie urządzone.

- Pan tutaj? – z wrażenia zapomniałem powiedzieć dzień dobry.

- Usiądź, podysputujemy sobie – szerokim gestem wskazał na miękki fotel naprzeciw biurka. Skorzystałem z zaproszenia. – Kawę? Herbatę?

- Może być kawa – byłem zmęczony i liczyłem, że taka persona nie zaserwuje lury z byle czego. Nie myliłem się. Chwilę później długonoga blond piękność w sukience mini ze srebrnych kółek (i nic pod spodem), przyniosła dwie filiżanki najprawdziwszej, pachnącej kawy.

- Rozumiem, dziwi cię moja obecność tutaj. Tak się składa, że sytuacja wymaga, żebym osobiście kontrolował opozycję. Jest to męczące, ale cóż, służba to służba.

- Służba komu?

- Sprawie oczywiście. Najważniejsze jest dobro ogółu.

- Widzę, że bez względu na to gdzie pan siedzi, hasła głosi te same – wtrąciłem z przekąsem.

- O tak, Adamie Nowosielski. Dobre hasło poznać po tym, że pasuje na wszystkie sztandary. Wy, w starożytności młodszej, powinniście o tym wiedzieć. Lubiliście przecież wojować z byle powodu. Teraz ponosimy konsekwencje tych wojaczek.

- Odnoszę wrażenie, że pan nie cierpi zbyt dotkliwie.

- Wszystko jest względne, jednak muszę się zmagać z problemami, o których nie masz najmniejszego pojęcia.

- Może wystarczyłby założyć odpowiednio zaprogramowany halucynator?

- Młody człowieku, twoja ironia świadczy tylko o tym, jak mało rozumiesz z tego, co widzisz...

- A co tu rozumieć. Garstka ludzi opływa w dostatki, reszcie funduje się wirtualną rzeczywistość, aby nie widzieli bryndzy w jakiej żyją.

- No, no! Czy za twoich czasów wszyscy mieli zagwarantowany identyczny standard?

Dalsza dyskusja w tym tonie nie miała rzecz jasna żadnego sensu. Uciąłem więc krótko:

- Jest jak jest. Gadaniem tego nie zmienimy.

- Nareszcie mówisz rozsądnie – rozjaśnił się. – Zatem przystąpmy do sprawy. Gdzie jest wehikuł czasu?

Odetchnąłem z ulgą. Pytanie dowodziło, że nie pokapowali, czym jest zegar Hieronima.

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi – postanowiłem zwodzić go tak długo, jak się da.

- Daruj sobie te gierki. Mamy niezbite dowody, że przybyliście tutaj sprzed totalu nukler, a nie było to możliwe pieszo.

- Nic o tym nie wiem.

- Więc chodź, odświeżę ci pamięć.

Przeszliśmy do następnego pomieszczenia. Pierwszą rzeczą jaką ujrzałem była szklana gablota, a w niej okrągły fragment leśnego poszycia. Od razu poznałem miejsce, które wraz z nami przeniosło się z naszych czasów (złapali nawet motyla).

- I to ma być ten dowód? – dalej szedłem w zaparte.

- Dokładne badania wykazały, że poziom radioaktywnego węgla w liściach tych roślin wynosi... tu posypały się jakiś jednostki, których nawet nie potrafię powtórzyć.

- Proszę sobie darować, jestem noga z chemii – wzruszyłem ramionami, żeby dodatkowo podkreślić swoje nieuctwo. – Dla mnie to tylko trawa, krzaki i jakiś latający robak.

- W takim razie zobacz jeszcze to!

Przeszliśmy do następnego pomieszczenia. Tu, na podłużnym stole stał mój plecak, a dookoła niego rozłożone wszystko, co w nim miałem: zegar w drewnianej skrzynce, ręcznik, przybory do mycia, kompas, notes, długopis, brudne skarpetki i... halucynator.

- Poznajesz?

- Oczywiście, wszystko jest moją własnością.

- Zapomniałeś dodać, że oprócz halucynera. Komu go ukradłeś?

- Nikomu, dostałem w prezencie.

- Od kogo? Odstępowanie halucynerów jest takim samym przestępstwem, jak ich kradzież. Gdybyś żył w obecnych czasach, wiedziałbyś o tym doskonale.

- No dobrze, niech będzie, że ukradłem. Jaką poniosę karę?

- Też nie wiesz? Reperacja umysłu. Jednakże zanim postanowię o karze, chętnie posłucham, co powiesz o tym dowodzie – otworzył mój notes i zza okładki wyjął mały kalendarzyk. O kurcze! Nadeszła pora żeby zmienić taktykę.

- Jeśli nawet jest tak, jak pan sugeruje, no to co?

- Wskażesz mi miejsce, w którym ukryliście wehikuł, a my was odstawimy do waszych domów, bez względu na to, gdzie one są.

- Sam nie mogę podjąć takiej decyzji, muszę narazić się z przyjaciółmi – udałem, że jestem prawie gotów przystać na jego warunki..

- Doskonale, wiedziałem, że twój rozsądek weźmie górę. Jak cię z nimi skontaktować?

- Jak to jak? Przecież już wcześniej ich uwięziliście.

- My? Nie! Coś ci się pomieszało.

- Sam widziałem – opowiedziałem mu o scenie jaka rozegrała się w parku.

- To brzmi bardzo prawdopodobnie, jednak nic o tym nie wiem.

Nie wierzyłem, by facet, który kontrolował wszystko, łącznie z opozycją w podziemiach, wiedział o przybyszach z innych czasów, a nie wiedział o ich aresztowaniu. Niewątpliwie w tym kłamstwie krył się jakiś podstęp.

- Bez narady przyjaciółmi nie podejmę żadnej decyzji – trwałem przy swoim.

- Spróbuję coś zrobić, ale niczego nie obiecuję. Na razie odpuszczam ci sprawę halucynera mając nadzieję, że to docenisz. Liczę na twój zdrowy rozsądek.

Jeszcze tego samego dnia elektrycznym samochodem, bez okien, zostałem przewieziony do białej willi. Razem z Adem, rzecz jasna. Wszystko zdawało się świadczyć o tym, iż obdarzono nas całkowitym zaufaniem. Nigdzie nie wypatrzyłem żadnych strażników, czy jakichkolwiek systemów kontrolnych. Mogliśmy bez ograniczeń poruszać się po całej wyspie, ale co z tego, skoro nie mogliśmy uciec. Na razie pozostało mi uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Willa, podobnie jak inne wille w sąsiedztwie, stała w zadbanym ogrodzie z fontanną i była wygodnie urządzona. Doszorowałem się, doprałem i nareszcie wyspałem wygodnie w czystym łóżku. Wkrótce przekonałem się, że nie tylko pomyślano tu o komforcie codziennego życia, ale o rozrywkach. Mieliśmy na przykład do dyspozycji szafę pełną wirtualnych okularów, które były czymś pośrednim między wideo a teatrem. Widz siedział w środku filmu, a kiedy miał ochotę, mógł osobiście włączyć się do akcji.

Obejrzałem kilka takich spektakli, były okropnie głupie. Na przykład akcja jednego z nich toczyła się w starożytności młodszej. Bohater, niejaki John-Heroj, kudłaty facet w garniturze, jeździł motocyklem, strzelał z kuszy i walczył z szajką upudrowanych facetów w siwych perukach, atłasowych kubrakach i białych podkolanówkach. O co w tej walce szło, tego pewnie nie wiedział sam twórca tego dzieła. Inne filmy były równie, albo jeszcze bardziej idiotyczne. W mojej ocenie, oczywiście, bo Ad aż piał z zachwytu.

- Gdym mógł zostać tu na zawsze, bez żalu zrezygnowałbym z podróży w czasie. A ty?

- Ja nie.

- Zastanów się dobrze. W zamian za wehikuł, możemy tu mieszkać do końca życia.

- Nie zawracaj mi głowy.

Chcąc uciec od dyskusji w tym stylu wychodziłem do ogrodu, siadałem na obramowaniu fontanny i zagłębiłem się w rozmyślaniach. Męczył mnie niepokój o Olę i Jurka, niepewność dalszego losu, i kompletny brak pomysłu, co robić dalej. Kiedy utknęliśmy w siedemnastym wieku, byliśmy przynajmniej razem, mieliśmy ze sobą zegar Hieronima i nikt nie podejrzewał, kim jesteśmy. Teraz wszystko ułożyło się dokładnie na odwrót, a do tego ciągle nie rozgryzłem Ada. Krótko mówiąc, byłem samotny jak palec w ciasnej rękawiczce.

Czekałem. Mijał dzień za dniem, lecz ani szef, ani nikt z jego ludzi, nie dawał znaku życia. W tym czasie dość dokładnie zwiedziłem wyspę, mając cichą nadzieję, że natknę się na ślad Oli i Jurka. Niestety, kicha.

Wyspa wyglądem i atmosferą, przypominała elegancki kurort. Nigdzie nie spotkałem nikogo, kto by pracował. Mieszkańcy sprawiali wrażenie, jakby ich jedynym celem było przyjemne spędzanie czasu. Wszyscy albo opalali się w przydomowych ogrodach, albo spacerowali, albo przesiadywali w licznych kawiarenkach pod kolorowymi parasolami. Panowie na równi z paniami prezentowali prawdziwą rewię mody. Gustowano w dziwacznych połączeniach metalu i plastyku. Szczególnie na głowach noszono ”arcydzieła”, o jakich w naszych czasach mógł marzyć niejeden rzeźbiarz abstrakcjonista.

Ad bardzo szybko dostosował się do tutejszego sposobu bycia. Zamówił sobie przez telefon (wszystko tutaj tak się zamawiało) jakieś idiotyczne wdzianko przypominające średniowieczną kolczugę, kapelusz z kogucim piórem, po czym zaczął bywać w różnych lokalach i nawiązywał nowe znajomości. Wkrótce w naszym domu zrobiło się gwarno jak w ulu, gdyż Ad ujawnił ogromny talent do organizowania hucznych przyjęć, na które jak do miodu, ściągały tłumy wesołych imprezowiczów.

Po tygodniu miałem już wszystkiego dość. Zatelefonowałem do biura zleceń i zażądałem natychmiastowego spotkania z szefem.

- Proszę bardzo – odpowiedział głos w słuchawce tak obojętnie, jakbym prosił o wodę mineralną. – Będzie pan uprzejmy być gotowy za godzinę?

- Będę.

Rzeczywiście, dokładnie po godzinie pod dom zajechał samochód, który zawiózł mnie do siedziby szefa. Samochód był rzecz jasna bez okien, więc nadal nie mogłem ustalić w której części wyspy szef urzęduje. Zresztą, i tak nie miało to większego znaczenia, skoro w każdej chwili mogłem z nim się skontaktować.

OBMYŚLAM FORTEL

Szef powitał mnie nad wyraz uprzejmie. Wyszedł nawet zza biurka i usłużnie podsunął mi fotel. Długonoga sekretarka, tym razem w dwuczęściowym wdzianku z półprzeźroczystej folii imitującej rybie łuski (i nadal nic pod spodem), bez wezwania podała nam kawę i dyskretnie znikła za drzwiami.

- Więc co cię do mnie sprowadza drogi Adamie Nowosielski? – szef splótł dłonie i przybrał postawę wyrażającą gotowość do świadczenia wszelkich przysług.

- Co z moimi przyjaciółmi? – od razu przystąpiłem do rzeczy.

- Przykro mi – w bezradnym geście rozłożył ręce dając aż nadto jasno do zrozumienia, że nie ma dla mnie pomyślnych wiadomości.

- Przecież zaaresztowali ich pańscy ludzie.

- Nie przeczę, jednakże nie jestem informowany o każdej interwencji stróżów prawa. Być może twoi drodzy przyjaciele są już po reperacji umysłu, co znaczy, że niczym się nie wyróżniają wśród innych obywateli. I niczego, niestety, nie pamiętają z przeszłości.

- Chce pan powiedzieć, że ot, tak sobie, według własnego uznania, majstrujecie w głowach każdego, kto wam wpadnie w ręce i nie zostaje po tym żaden ślad?

- Och nie, mamy odpowiednie procedury, jednak po takim fakcie sprawa nie jest prosta.

Byłem pewien, że łgał jak z nut, lecz nie mogłem zaskoczyć, jaki miał w tym cel. Co chciał osiągnąć trzymając mnie z dala od Oli i Jurka? Gdybym to odgadł, mógłbym przyjąć jakąś strategię, tymczasem byłem bezradny. Próbowałem dalej.

- Rozumiem, że nie mam szans odnaleźć swoich przyjaciół.

- W obecnych czasach nie.

Nagle jak grom z jasnego nieba olśniło mnie. Jak mogłem o tym wcześniej nie pomyśleć. Chodziło po prostu o to, żebym cofnął się do czasu, kiedy byłem razem z Olą i Jurkiem. Dokładnie to samo proponował Ad, gdy jeszcze siedzieliśmy w lecznicy. Najprawdopodobniej planowali, że zanim zdążę uruchomić mechanizm, przejmą urządzenie. .

- Czy mogę odzyskać swoje rzeczy?

- Czy bardzo panu na nich zależy? – w jego głosie wyczułem podejrzliwość.

- Nie za bardzo, ale należą do mnie więc chcę je mieć.

- Bo widzisz- uśmiechał się z zażenowaniem, które ledwo tuszowało zjadliwą ironię – Twoje rzeczy przekazałem do muzeum jako cenny eksponat. Co chcesz w zamian?

- Nic, wszystko mam – odwzajemniłem się nieszczerym uśmiechem.

Posiedziałem jeszcze kilkanaście minut i wróciłem do domu. Tymczasowego domu rzecz jasna.

Rozmowa z szefem podsunęła mi pewien pomysł. Skoro próbowano mnie skłonić do skoku w przeszłość, to dlaczego ich plan nie miałby się stać częścią mojego planu? Wystarczyło tylko wprowadzić drobne poprawki i gotowe.

Tego wieczoru Ad, jak zwykle, organizował jakąś balangę, więc o twórczej pracy umysłowej we własnym łóżku, nie było co marzyć. Ubrałem się ciepło i przez całą noc siedziałem na kamienistej plaży dopracowując szczegóły swojego pomysłu. Rankiem byłem gotów do akcji. Kiedy koło południa Ad raczył wreszcie otworzyć spuchnięte oczy, powiedziałem stanowczo:

- Mam już dość twojego hulaszczego życia. Wyprowadź się, albo ja to zrobię.

- Nie świruj, tylko dołącz do nas.

- Mam ważniejsze sprawy na głowie. Zresztą, gdybyś zobaczył, jak wyglądają zabawy w naszych czasach... – machnąłem z rezygnacją ręką, że niby to brak słów aby te cuda opisać.

- Wiec czemu nie wracasz?

- Gdybym mógł, nie czekałbym ani sekundy. A tak niewiele trzeba... – westchnąłem ciężko.

- Jeżeli na przeszkodzie stoi tylko drobiazg, chętnie ci pomogę.

- Wystarczy, że uwolnisz mnie od swojego towarzystwa.

- Gdybym mógł, dawno bym to zrobił. Jesteś okropnym nudziarzem. Niestety, szef myśli, że znam jakieś twoje tajemnice i tylko dlatego mnie toleruje. Ale gdy tylko dobierze ci się do tyłka, natychmiast zreperuje mi mózg i odeśle na ląd. Więc co mam robić? Korzystam z okazji, póki można – milczał chwilę ze spuszczoną głową. – Jeżeli mnie wyrzucisz, jeszcze tego samego dnia stanę się podludkiem. Przemeblują mi łeb jak amen w pacierzu.

- Czy naprawdę mógłbyś mi pomóc?

- Oczywiście. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Udałem, że dogłębnie rozważam jego propozycję. Ad obserwował mnie z widocznym napięciem. Kiedy wreszcie powiedziałem:

- No dobrze, zaryzykuję – odetchnął z ulgą. – Daj mi jednak słowo honoru, że mnie nie zdradzisz.

- Słowo czego?

- Honoru.

- Czymkolwiek ono jest, jest, daję ci go. Ale ty też mnie nie wypinkuj.

Pierwszy punkt planu miałem już za sobą.

- Oczywiście. Problem polega na tym, że w pojedynkę nie mogę skorzystać z wehikułu. Muszę odnaleźć przyjaciół.

- Ja ci nie wystarczę?

- Nie...

- Poznałem bardzo porządną dziewczynę, ręczę za nią...

- Wiem, co mówię. Mają być moi przyjaciele. Nikt inny.

- Aha, pewnie każdy z was ma po jednym elemencie, które razem uruchamiają wehikuł – spojrzał na mnie pytająco.

- No, nareszcie załapałeś – pochwaliłem go. – Poza tym muszę odzyskać swoje rzeczy, które szef oddał do muzeum.

- Co konkretnie?

- Wszystko.

- Po co ci wszystko? Wystarczy, że zabierzemy tylko to, czego niezbędnie potrzebujesz.

- Nasze prawo zabrania pozostawiania w innych epokach jakichkolwiek trwałych przedmiotów – skłamałem na poczekaniu.

- Gwiżdż na te głupie zakazy. Co ci zrobią jeśli zgubisz na przykład skarpetkę.

- Przestań przytruwać. Jak powiedziałem, że ma być wszystko, to ma być wszystko.

- No dobrze, tak tylko sobie mówiłem – stwierdził pojednawczym tonem.

Szło mi nad podziw dobrze. Teraz należało przejść do następnej fazy planu.

- Szef mówił, że nie wie co się stało z Olą i Jurkiem. Co o tym myślisz?

- Bajdurzy. Trzyma ich gdzieś pod strażą. Dobrze wie, że wcześniej, czy później ktoś będzie próbował do nich dotrzeć.

- Moją osobę też biorą pod uwagę?

- Jasne. Są przygotowani na każdą możliwość.

- Masz jakiś pomysł?

- Twoje rzeczy z muzeum można ukraść bez problemu. Gorzej będzie z ustaleniem miejsca pobytu twoich przyjaciół. Sprawa jest trudna lecz nie beznadziejna. Zostaw to mnie i do niczego się nie wtrącaj.

AD PRZEJMUJE INICJATYWĘ

Całkowicie zdałem się na Ada. Zresztą, nie miałem innego wyboru. Ten przystąpił do działania z ogromnym rozmachem. Dwa dni później, dla wszystkich mieszkańców Edenu zorganizował na plaży huczną imprezę. Impreza miała mieć styl „archer", czyli po naszemu „retro". Powszechna wiedza na ten temat była mniej więcej taka, jak w filmie o Johnie-Heroju. Na kilkunastu słupach wbitych koliście w kamienistą ziemię zawieszono kolorowe lampiony. W środku stał stary, zardzewiały autobus bez szyb, ale za to z tiulowymi firankami w oknach. Na dachu autobusu trzech facetów w górniczych mundurach i czerwonych beretach udawało stylową orkiestrę. Jeden kręcił korbką katarynki, drugi walił w wielki bęben, trzeci, rzępolił na skrzypcach. Od powstającego przy tym jazgotu dosłownie puchły uszy. Przy brzegu kołysała się na wodzie flisacka[6] tratwa, do której jakiś głupek przymocował

[6] Flisak – człowiek trudniący się spławem drzewa.

maszt z trójkątnym, różowym żaglem. Na poboczach rozstawiono długie stoły z jadłem i napitkami, też oczywiście według „starożytnych" przepisów. Czegóż tam nie było! Wodorosty w sosie topikowym (chyba tylko kucharz raczył wiedzieć, z czego to upichcił), dzwonka śledziowe na słodko, małże w sosie własnym, koktajl z meduz na kwaśno, placki owsiane, placki z mączki rybnej i różne inne kulinarne dziwadła.

Gości obowiązywały rzecz jasna stroje wzorowane na czasach sprzed total-nukleru, czyli w praktyce przysłowiowy groch z kapustą. Na przykład panie do krynolin nosiły kowbojskie kapelusze, a panowie do szkockich spódniczek – atłasowe kubraczki i krakowskie rogatywki z pawimi piórami. Kolorowy tłum przebierańców tańczył dookoła autobusu niby to starożytne tańce, lecz żeby je opisać, trzeba by pióra Reymonta.

Ad w czerwonym podkoszulku i czarnym smokingu stał na tratwie w towarzystwie dziesięciu panienek w opalaczach i przez blaszany lejek jakiego w naszych czasach używało się do napełniania kanistrów benzyną, witał coraz to nowych gości. Kiedy akurat nikogo nie witał, gibał się na wszystkie strony, wykonywał jakieś dzikie skoki i karkołomne fikołki. Towarzyszące mu girlaski naśladowały go z takim poświęceniem, że aż jedna wpadła do wody.

Stałem sobie z boku czekając, co z tego wyniknie. Niespodziewanie podeszła do mnie czarnowłosa dziewczyna owinięta koronkowym szalem.

- Hej, jestem Irmina – przedstawiła się.

- A ja Adam. Hej.

- Fajna zabawa, prawda?

- Bardzo fajna – potwierdziłem.

- Nawet Hektos czegoś równie rarytaśnego nie wymyślił. Bywasz u Hektosa?

- Nie – odpowiedziałem krótko przemilczając wyjaśnienie, że nie mam zielonego pojęcia, kim jest ów spec od rarytaśnych zabaw.

- Przyjdź czasem. Zatańczysz?

- Nie umiem.

- Tańce archer są bardzo łatwe. Najpierw partnerzy podają sobie prawe ręce i podnoszą lewe nogi, następnie podają sobie lewe ręce i podnoszą prawe nogi. Potem podskakując i klaszcząc obracają się w kółko.

Gdybym w naszych czasach coś takiego odstawił na dyskotece, ludzie popękali by ze śmiechu. Tu jednak postanowiłem spróbować zakładając, że dziewczyna zaczepiła mnie nieprzypadkowo.

- No dobrze, ale nie śmiej się, jeżeli pomylę kroki.

Wmieszaliśmy się w tłum. W ścisku, który panował na „parkiecie" nie można było nawet marzyć o wykonywaniu jakiekolwiek figur tanecznych poza podskakiwaniem. Podskakiwaliśmy więc sobie wśród innych podskakujących wpadając co chwilę na siebie nawzajem i depcząc sobie po nogach, lecz mojej partnerce nic nie było w stanie zepsuć humoru. Rozbawiona śmiała się głośno. Po mniej więcej piętnastu minutach postanowiła wreszcie odpocząć. Przystałem na jej propozycję z ulgą. Przepchaliśmy się poza krąg tańczących. Wypadało jakoś podtrzymać rozmowę, a głupio było zdawać się na inicjatywę dziewczyny, więc spytałem, czy chce coś zjeść.

- Nie przypadła mi do gustu kuchnia arche. Współczuję ludziom w tamtych czasach. A ty?

- Myślisz, że oni naprawdę tak się odżywiali?

- W programie podano, że są to potrawy zrobione według oryginalnych przepisów.

Dziwne. Ad od razu poznał, że kanapki z szynką i jabłka pochodzą sprzed total nukleru, i wiedział, że jedzenia z tamtych czasów nie sposób podrobić. Tymczasem Irmina nie miała o tym zielonego pojęcia. Chyba mało kto miał, skoro na tak masowej imprezie zaproponował to, co zaproponował. „Zatem, skąd pochodziła wiedza Ada, skoro przede mną nigdy nie spotkał nikogo z przeszłości? Byłby to więc jeszcze jeden dowód jego powiązań z tajnymi służbami?" - rozważałem, ale w końcu doszedłem do wniosku, że źródłem wiedzy wcale nie musiały być tajne służby.

- Skoro tak podano…

- Przejdźmy się.

Szliśmy bez celu brzegiem morza. Noc była jasna i ciepła. Światło księżyca łamało się srebrzyście w niezliczonej ilości fal marszczących wodny bezkres. Lekka nocna bryza[7] rozwiewała malowniczo długie, czarne włosy Irminy i jeszcze bardziej malowniczo powiewała jej szalem.

Dziewczyny z natury są romantyczne i w takiej scenerii pewnie spodziewają się jakichś poetyckich metafor[8], czy nastrojowych zachwytów. Ponieważ kiepski ze mnie poeta, nie miałem zielonego pojęcia, jaki temat rozmowy mógłbym jej zaproponować, szedłem więc milczący i sztywny jak kołek w płocie. Zaczynałem nawet żałować, że zgodziłem się na ten spacer. Mniej więcej po pół godzinie, gdy odgłosy zabawy były już ledwo słyszalne, Irmina przystanęła.

- Wykąpmy się! – zawołała i nie czekając na moją odpowiedź, zrzuciła z siebie szal i pobiegła do wody.

Chętnie też bym popływał, ale miałem przecież pod koszulą puszkę po landrynkach a w niej wahadło od zegara Hieronima. Rozejrzałem się, wokół nie było żywego ducha, ale kto wie, co kryły zarośla na obrzeżu plaży.

- No chodź, woda jest cieplutka jak w wannie – wołała podskakując w rytm fal.

- Nie umiem pływać – skłamałem, bo pływam dość dobrze.

- Nauczę cię. Zresztą, jest tak płytko, że z pewnością nie utoniesz.

- Może innym razem.

- Och, co z ciebie za chłopak, ani nie tańczysz, ani nie pływasz... – udając zagniewanie niechętnie wyszła z wody. – Zmarzłam, może przynajmniej mnie ogrzejesz?

- Oczywiście – podałem jej swoją kurtkę.

Wyglądała na rozczarowaną. Najwyraźniej liczyła na coś innego i dała temu wyraz.

- Och, tylko tyle? – wydęła pogardliwie usta.

- Mogę ci jeszcze odstąpić... spodnie.

- Przestań świrkować. Czy nie widzisz, że mi się podobasz?

Nie jestem fajtłapą, ale czasem dziewczyny wprawiają mnie w zakłopotanie, szczególnie wtedy, kiedy... no wiecie. Są tematy, z którymi sobie kiepsko radzę.

[7] Bryza – wiatr wiejący prostopadle do linii brzegowej morza zmieniający kierunek dwa razy w ciągu doby.
[8] Metafora – przenośnia.

- Ty mi też się podobasz – powiedziałem i natychmiast chciałem palnąć się w swój głupi łeb.

- Na ile?

- Co na ile?

- Na ile ci się podobam?

Prawdopodobnie w tego typu wyznaniach obowiązywała tu jakaś skala. Tylko jaka? Postanowiłem już tego nie dociekać, lecz czym prędzej czmychnąć na bezpieczne pozycje.

- Podobasz mi się tak w ogóle, ale...

- Ach rozumiem, chcesz mnie poderwać w stylu „archer"! – zaczęła skakać z radości jak mała dziewczynka. – Och tak, och tak, będziemy kochankami jak Izolda i Romeo.

- Jeżeli chodzi ścisłość, to Izolda nigdy nie spotkała Romea.

- A kogo?

- Tristiana.

- A Romeo?

- Julię.

- To będziemy jak Romeo i Julia, albo Tristian i Izolda. Jak wolisz?

- Wszystko jedno, w tamtych czasach zakochani ograniczali się do ukradkowych spojrzeń i romantycznych westchnień – plotłem dalej jak potłuczony. Rzecz jasna nie zachwyciłem tym Irminy.

- Wracajmy – zabrzmiało to, jakby powiedziała: jesteś beznadziejnym nudziarzem, albo coś w tym rodzaju. Jurek na moim miejscu pewnie radziłby sobie dużo lepiej, niestety, złośliwy los zawsze mnie obarczał takimi kłopotami.

Wróciliśmy. Irmina bez słowa wmieszała się w tłum tańczących, ja tymczasem stałem sobie bezczynnie z boku z mocnym postanowieniem unikania pogaduszek z dziewczynami, nawet najpiękniejszymi.

Wtem zauważyłem, że do Irminy podszedł zamaskowany mężczyzna w czarnej pelerynie, spytał ją o coś, a ona w odpowiedzi pokręciła przecząco głową. Zaintrygowany, zacząłem śledzić wzrokiem tajemniczego mężczyznę. Ten

pośpiesznie przepchał się do autobusu i wszedł do jego wnętrza. Osłupiałem, gdy chwilę później w oknie mignęła twarz szefa. Rozpoznałem go bez trudu.

***

Próbowałem odgadnąć, w jakim celu Irmina zaproponowała mi spacer, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Mogłem jedynie pocieszyć się pewnością, że cokolwiek jej zlecono, poniosła fiasko, lecz jeśli ładna dziewczyna, z którą poszedłem na krótki spacer, była agentką, to agentem mógł tu być każdy. Na chwilę ta rozbawiona rzesza ludzi wydała mi się węszącą, stuoką bestią, której mózgiem były połączone mózgi setek specjalistów tajnych służb wspomaganych przez armię mózgów fachowców od prowokacji, inwigilacji[9] i nie wiadomo czego jeszcze. Tymczasem ja byłem tylko zwykłym szesnastolatkiem w tarapatach, zagubionym w nie swoich czasach. Ale cóż, bez względu na samopoczucie, nie miałem innego wyjścia, niż brnąć dalej. Wtem podszedł do mnie Ad. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że jest w szampańskim nastroju.

- Jak się bawisz? – spytał.

- Tak sobie.

- Poprawię ci humor. Mam już twoją plecową torbę i całą jej zawartość.

- Plecak? Jak go zdobyłeś?

- Najprościej na świecie. Wszystkie stroje i rekwizyty dostarczyło muzeum. W zamówieniu ująłem też twoje rzeczy.

Było to rzeczywiście niezwykle proste. Zbyt proste jak na mój nos.

- A co z Olą i Jurkiem?

- Są w podziemiach prokuratorii.

- Czy wiesz, gdzie to jest?

- Co bym miał nie wiedzieć. Każdy to wie, kto chce.

Znad ramienia Ada zobaczyłem, że tajemniczy mężczyzna w pelerynie i szef (który miał teraz maskę na twarzy, ale i tak go rozpoznałem) opuścili autobus, lecz sekundę później straciłem ich z oczu.

- Jak chcesz się do nich dostać?

[9] Inwigilacja – dyskretne, stałe obserwowanie kogoś przez policję lub detektywów.

- Skaperowałem do współpracy Stena, jednego ze strażników. Coś przeskrobał i grozi mu „czapa". Zrobi wszystko byleby tylko smyknąć z nami. Tuszę[10], że znajdzie się dla niego miejsce w wehikule.

Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego nie przeszukano mnie dokładnie, ani nie przywiązywano należytej wagi do zawartości mojego plecaka. W ich mniemaniu wehikuł czasu był jakąś maszyną, do której należało wsiąść jak do samochodu, czy czegoś w tym rodzaju. Najprawdopodobniej do takiego wniosku doprowadził ich kawałek leśnego poszycia, który przeniósł się z naszej epoki razem z nami. Widać założono, że takie same wymiary, czyli mniej więcej cztery metry średnicy, miało coś, co w tym miejscu stało. Zapewne sporo się natrudzili, żeby to odnaleźć. Kiedy ponieśli porażkę, dobrali się do nas.

- Przydałby się jakiś helikopter...

- He... co? – nie zrozumiał Ad.

- No, to co lata.

- A! Śmiglot!

- No właśnie.

- Z tym nie ma najmniejszego kłopotu. Sten, weźmie służbowy – Ad był przygotowany na każdą odpowiedź.

Helikopter, czy też śmiglot nie tylko pozwalał mi udawać, że musimy udać się do miejsca ukrycia wehikułu, ale przede wszystkim umożliwiał powrót w okolice Leśniówki. Gdybyśmy tutaj cofnęli się w przeszłość, wylądowalibyśmy nie wiadomo gdzie.

- Doskonale, więc kiedy zaczynamy?

- Gdzieś za godzinę, gdy zabawa rozkręci się na dobre. Czekaj tu na mnie i nigdzie się nie ruszaj.

Nie spuszczałem go z oka. Ad wrócił na tratwę i przez blaszany lejek zarządził „zbiorowe pląsy figurowe".

- Na początek kabel! Łapiemy się za łapki! Łapiemy się za łapki! – Wszyscy ochotnie wykonali polecenie. Nikt rzecz jasna nie miał pojęcia jak to tańczyć, toteż Ad, ciągle z lejkiem przy ustach, zeskoczył z tratwy, stanął na czele korowodu i

[10] Tuszyć – mieć nadzieję, spodziewać się.

rozkołysanym krokiem ruszył przed siebie. Żywy wąż tancerzy okrążył autobus, prześliznął się pomiędzy stołami, aż wreszcie zygzakami wypełznął na plażę. Wtedy zarządził zmianę figury, która polegała na utworzeniu podwójnego koła.

- Panowie na zewnątrz, panie do środeczka! Panowie krążą w lewo, panie w prawo! – komenderował przekrzykując przez lejek śmiechy, okrzyki i jazgot orkiestry.

NARESZCIE RAZEM

Kiedy koła rozkręciły się na dobre, Ad opuścił tańczących i przybiegł do mnie.

- No to idziemy – szepnął rozglądając się badawczo.

- Dokąd?

- W pewne umówione miejsce, już tam na nas czeka Sten z twoimi przyjaciółmi. Tylko ostrożnie, mogą nas obserwować – w jego głosie nie wyczułem ani cienia fałszywej nuty.

- A co z plecakiem?

- Schowany jest w budzie na pływalnicy, weźmiemy go po drodze.

Bez przeszkód zabraliśmy z tratwy plecak, bez pośpiechu opuściliśmy teren imprezy i ruszyliśmy w kierunku centrum wyspy.

Wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy Edenu, bawili się na plaży. Na opustoszałych ulicach spotkaliśmy zaledwie kilka grupek zajętej sobą podpitej młodzieży. Minęliśmy główny plac, potem jeszcze kilka ulic, skręciliśmy w jedną z bocznych alejek i dotarliśmy do ogrodzenia z siatki, za którą znajdowało się lotnisko, albo raczej śmiglotnisko, wielkości boiska do piłki nożnej. Stało tam siedem latających maszyn. Na pierwszy rzut oka nikt ich nie pilnował. Nawet w wieży kontrolnej nie paliło się żadne światło.

- Jesteśmy na miejscu – powiedział Ad przystając.

- Co teraz?

- Nic. Przyszliśmy za rano[11] , poczekamy.

[11] Za rano – za wcześnie.

Zlustrowałem otoczenie. Trudno było wymyślić gorsze miejsce na konspirację. Chociaż domy stojące w pobliżu również wyglądały na puste, mogła nas śledzić setka oczu. Na razie nie miało to większego znaczenia. Każda ze stron prowadziło swoją grę i dopiero przyszłość miała pokazać z jakim skutkiem.

Mniej więcej po dziesięciu minutach na końcu alejki pojawiły się trzy ciemne sylwetki. W dwóch od razu rozpoznałem swoich przyjaciół. Aż podskoczyłem z radości i pobiegłem im na spotkanie. Oni również zaczęli biec w moją stronę.
Lubię Olę i Jurka, jednak nigdy dotąd ich widok nie sprawił mi większej radości. Mniej więcej na środku ulicy wpadliśmy sobie w objęcia.

- Uważaj, oni coś knują – szepnęła mi do ucha Ola.

- Wiem, mam plan...

Nic więcej nie zdążyłem dodać, bo podszedł Ad i chwilę później Sten.

- Przestańcie się obcałowywać. Chcecie wszystko zepsuć? - zrugał nas Ad. Moim zdaniem bardziej chodziło mu o to, żebyśmy się nie porozumiewali poza jego kontrolą.

- No właśnie, pośpieszajcie za mną – powiedział Sten i ruszył szybkim krokiem w kierunku lotniska. My rzecz jasna za nim.

Wyjątkowa sytuacja i pośpiech sprawiły, że ani ja nie zdążyłem zapoznać Oli i Jurka z Adem, ani samemu zawrzeć znajomości ze Stenem. Sten był starszym, chyba czterdziestoletnim facetem, nie wyróżniającym się niczym szczególnym. Nawet przez chwilę zastanawiałem się, co przeskrobał, że aż musiał uciekać w inne czasy. I to bez żadnych bagaży.

Dość długo szliśmy wzdłuż ogrodzenia, aż wreszcie dotarliśmy do wąskiej furtki, którą Sten otworzył kluczem wyjętym z kieszeni. Następnie po prostu wsiedliśmy do pierwszego z brzegu śmiglotu. Sten usiadł za sterami.

- Na Lesnowe? – spytał.

- Na Lesnowe – potwierdziliśmy chórem i po chwili wzbiliśmy się w powietrze.

- Co się z wami działo? – spytałem przekrzykując warkot silników.

- Nic szczególnego, zamknęli nas w czterech ścianach i przez cały czas próbowali zmusić do wyjawienia tajemnicy, gdzie ukryliśmy wehikuł czasu. Na

szczęście dogadaliśmy się ze Stenem, który pomógł nam uciec. – wyjaśniła krótko Ola. – A jak było z tobą?

- W zasadzie podobnie, tylko że ja spotkałem Ada.

- Jednym słowem mieliśmy dużo szczęścia – podsumował Jurek. Na szczęście nie dodał, że temu szczęściu ktoś wydatnie pomógł.

Nasi nowi przyjaciele na razie milczeli. Sten zajęty był pilotowaniem, a Ad gapieniem się na Olę. Zacząłem podejrzewać, że jemu również na jej punkcie coś odbiło i miałem rację. W pewnej chwili pochylił się w moją stronę i powiedział.

- Prześliczna. Myślisz, że mam u niej szansę?

- Być może, nie zapominaj jednak, że to twoja cioteczna prapraprababka.

„Podawał się za Nowosielskiego, to niech teraz ponosi tego konsekwencje" – spuentowałem ze złośliwą satysfakcją, jednak świeżo zauroczony adorator ani myślał się poddawać.

- Przy zawieraniu małżeństw pokrewieństwo liczy się tylko do trzeciego pokolenia.

- Zgłupiałeś? Chcesz się z nią ożenić?

- Jeżeli tylko mnie zechce, a nie widzę powodów, żeby nie zechciała – stwierdził z właściwym sobie zarozumialstwem.

Dalsza dyskusja na ten temat nie miała sensu. Przecież i tak ostatnie słowo należało do Oli. Wolałem spróbować przewidzieć, jakie jeszcze mogą czekać nas niespodzianki. Na razie mój plan przewidywał, że wrócimy do Leśniówki, najlepiej w to miejsce, z którego startowaliśmy, i po prostu włączymy wsteczny bieg. Dalej niech się dzieje, co chce. Jeżeli Ad i Sten zabiorą się z nami – trudno. Później będziemy się martwić, co z nimi zrobić. Ola i Jurek z pewnością myśleli podobnie. Bo w końcu w naszej sytuacji cóż innego można było wymyślić.

Aktualnie szło nam nieźle, lecz moje liczne wpadki w przeszłości nauczyły mnie respektu dla przeciwnika. Był inteligentny, sprytny i bezwzględny, a gra toczyła się o wysoką stawkę. Wiedziałem, że tym bardziej zwiększę naszą szansę na wygraną, im trafniej przewidzę ich kolejne posunięcie zakładając, że oni nadal nas kontrolują.

Tymczasem za oknem na horyzoncie pojawiła się ciemna linia lądu. Zbliżaliśmy się do celu.

POWRÓT

Wylądowaliśmy na placu przed budynkiem prokuratorii. Na moim zegarku dochodziła trzecia trzydzieści. Słońce jeszcze nie wzeszło, lecz niebo już pojaśniało, a promienie padające zza widnokręgu rozświetlały różem białe chmurki.

Miasto było pogrążone w głębokim śnie. Kto nie zdążył na czas do swojego domu, spał tam gdzie go dopadł tajemniczy obezwładniający sygnał. Tak więc ludzie leżeli pokotem na chodnikach i ulicach. Widziałem już podobną scenę w Breslo, lecz dla Oli i Jurka widok był wstrząsający.

- O Boże, co tu się stało? – zawołali przestraszeni.

- Nic, po prostu jest noc i wszyscy porządni obywatele śpią – wyjaśnił krótko Sten. – Dokąd teraz?

- Dokładnie tam, gdzie ukryliśmy wehikuł – powiedziałem tak przede wszystkim po to, żeby Oli i Jurkowi dać do zrozumienia, o co mi mniej więcej chodzi.

- To znaczy gdzie? – dociekał dalej.

- Nie mam zielonego pojęcia, wiem tylko jak tam trafić.

- No to pośpiesz się, bo już wkrótce będzie pobudka – z pewnością miał na myśli jakiś sygnał, który obudzi mieszkańców i zrobi się ruch. Sami mieszkańcy w swoich klapkach na oczach nie byli groźni, ale mogliśmy się natknąć na stróżów prawa.

Ruszyłem główną ulicą. Reszta szła za mną. Idąc rozglądałem się badawczo wypatrując funkcjonariuszy tajnych służb, chociaż było jasne, że jeżeli nas szpiegują, robią to dyskretnie. Po kilkunastu minutach skończyły się rudery. Dalej roztaczał się las metalowych i betonowych słupów, resztki murów, między którymi kłębiły się poplątane zwoje drutu, pogięte blachy, rury, oraz wszelkiego rodzaju odpady minionej cywilizacji. Środkiem biegła ścieżka. Na niej również leżało pokotem sporo śpiących ludzi.

Wydawało mi się, że dobrze pamiętam teren, jednak nie mogłem trafić dokładnie w to miejsce, które wraz z nami przeniosło się z przeszłości. Chciałem je odnaleźć chociażby dlatego, żeby nasi ewentualni podglądacze utwierdzili się w przekonaniu, że wszystko idzie zgodnie z ich planem.

- Więc gdzie to jest? – Sten nawet nie próbował ukryć zdenerwowania. – Mówiłeś przecież, że wiesz.

- Jasne, że wiem. Gdzieś w tym rejonie.

- A dokładnie?

- Na tym gruzowisku straciłem rozeznanie...

- Czyli mamy przeszukać cały ten teren? Wiecie ile tego jest? A poza jak wygląda to, czego szukamy?

- Jest to okrągły, zielony placek porośnięty trawą – powiedziałem szybko uprzedzając Olę i Jurka. – Niestety, wasze służby przeniosły trawę na wyspę i teraz ten placek niczym się nie różni od otoczenia.

- Bajdurzysz! Wehikuł czasu jest plackiem?

- Nie rozumiesz? Wehikuł stoi na tym placku, tylko w innym czasie, na przekład sto lat temu. To najpewniejsza kryjówka – wyręczył mnie w wyjaśnieniu Ad.

- A jak sto lat temu ktoś odnajdzie i zniszczy wehikuł? Co wtedy?

- Spokojna głowa, wiemy jak temu zaradzić – uspokoiłem go.

- Pamiętacie przynajmniej, z której strony ścieżki wylądowaliście?

- Oczywiście. Po prawej mniej więcej tam – wskazałem ręką.

- To było dokładnie pomiędzy tymi trzema kolumnami. Zapamiętałam je, bo są najwyższe i chyba jedyne nieuszkodzone – uściśliła Ola.

Trafili w dziesiątkę. Prowadziła nawet do tego miejsca ścieżka wydeptana pewnie przez tajne służby podczas przeszukiwania terenu i wynoszenia każdej piędzi ziemi pochodzącej z naszych czasów. Teraz w miejscu fragmentu zielonego poszycia ujrzeliśmy dziurę, głęboką na pół metra.

- Czyli rozumiem, że już możemy zaczynać? – Stenowi wyraźnie poprawił się humor. – Jak to ma przebiegać?

- Wehikuł jak wiecie stoi w tym kole, a my musimy go tylko przywołać do naszych czasów. Ponieważ teren pod wehikułem został podkopany, na wszelki wypadem stańmy w bezpiecznej odległości.

- Czy coś jest nie tak? – zaniepokoił się Ad.

- Ależ skąd – uspokoiła go Ola uśmiechając się promiennie. – Zawsze należy zachować ostrożność. Punkt piąty regulaminu bezpieczeństwa i higieny pracy – słowa Oli świadczyły, że domyśla się, o co chodzi.

- W jakiej odległości? – zainteresował się Sten.

- Mniej więcej dwóch metrów.

- A czterech może być?

Wiedziałem, że coś knuje, ale powiedziałem spokojnie:

- Może być nawet dziesięć.

- W takim razie my staniemy dwa metry od wehikułu, wy zaś dziesięć.

- Niby dlaczego? – spytał zaczepnie Jurek.

- Nie wiem jak Ad, ale ja wam nie ufam.

- W takim razie niech będzie jak ty chcesz – zgodziła się Ola.

- Jakim prawem obcy narzuca nam swoje zdanie? – zdenerwował się Jurek. – Jak nam nie ufasz, to zostań tutaj.

- Problem polega na tym, że nie chcę zostać.

- A skąd możemy wiedzieć, że nie wskoczysz do wehikułu i nie czmychniesz nam sprzed nosa? – Jurek sprytnie uwiarygodniał nasz plan.

- O to bądź spokojny. Niech któreś z was zostanie ze mną.

- Zostaniesz Ad? – Ola prośbę okrasiła takim uśmiechem, że głowa boli.

- Oczywiście

Wszystko układało się lepiej, niż mogliśmy sobie zamarzyć. Usiedliśmy w miejscu wyznaczonym przez Stena, on sam z Adem stanęli w pobliżu w pobliżu koła obserwując nas badawczo. Bez ociągania zabraliśmy się do rzeczy. Położyłem zegar Hieronima na kolanach, doczepiłem do niego tarczę i ustawiłem odpowiednio wskazówki. W tym czasie Jurek wyjął stoper i latarkę.

- No to... – zaczęła mówić Ola, ale przerwała wpół słowa. Wyglądała jakby zobaczyła ducha.

Rozejrzałem się. Otaczał nas potrójny pierścień oberwanych łachmaniarzy, ale za to uzbrojonych po zęby. Następny pierścień uzbrojonych formułował się dookoła kręgu, na którym miał się pojawić domniemany wehikuł. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że towarzyszyli nam przez cały czas leżąc pokotem na drodze. Powinienem był się domyślić, gdy tylko weszliśmy na ścieżkę przez gruzowisko. Liczba leżących była zbyt wysoka jak na takie miejsce. Niestety, brakło mi refleksu.

- Oho, najwyraźniej jest więcej chętnych na wycieczkę w przeszłość – skwitował Jurek.

-Masz absolutną rację – głos dobiegający zza moich pleców należał do szefa. On jeden miał na sobie nienaganny bordowy mundur ze złotymi guzikami.

- Pan też tutaj? – mówiąc ukradkowo rozkręcałem puszkę zegara.

- Czyż nie uprzedzałem, że lepiej od razu się dogadać? Teraz nie będzie mowy o żadnym kompromisie. Teraz ja dyktuję warunki.

- Można wiedzieć jakie? – puszka wahadła była już otwarta i gotowa do użycia.

- Rekwirujemy wehikuł.

- To bezprawie – oburzyła się Ola.

- Tego, niestety, wymaga racja stanu. Nadeszła pora, żeby wystawić rachunek dawnym pokoleniom za zniszczenie ziemi. Powinniście zapłacić za swoje barbarzyństwo.

- Jak sobie wyobrażacie tą zapłatę? Może macie zamiar opodatkować przeszłość? A może po prostu okradać?

- Nie wasz problem. Koniec gadulstwa. Macie natychmiast sprowadzić wehikuł.

- A jak tego nie zrobimy? – droczył się Jurek.

- Widzicie wymierzoną w siebie broń? Liczę do pięciu, a potem... – zawiesił znacząco głos.

- Czy odstawicie nas do naszych czasów? – spytałem żeby wyglądało, że ustępujemy.

- Oczywiście. Przy okazji udzielicie nam instrukcji obsługi, chociaż i bez tego poradzilibyśmy sobie. Mamy świetnych specjalistów

- No dobrze – zgodziłem się w imieniu nas wszystkich. – Niech pan odlicza, ale uprzedzam, że przywoływaniu wehikułu towarzyszą pewne anomalie atmosferyczne, proszę więc wydać rozkaz, aby w tym czasie nikt do nas nie strzelał.

- Jakie anomalie?

- Drobne, lekko faluje powietrze.

- No to nie ma co marudzić. Zaczynamy. Raz, dwa , trzy, cztery... pięć!

- No to start – powiedziałem szeptem i dotknąłem palcem galaretowatej masy.

- Żegnajcie frajerzy – zawołał Jurek robiąc przy tym małpie miny. Zanim otaczający nas ludzie zdążyli zareagować, słońce, które właśnie zaczęło wschodzić, jak kamień spadło z powrotem za horyzont i zapanowała kompletna ciemność. Sekundę później Jurek zapalił latarkę.

- A mierzysz czas?

- Jasne. Przecież nie jestem głupi – na dowód, że mówi prawdę, oświetlił stoper. Rzeczywiście, wskazówka mijała właśnie połowę tarczy.

- Przy okazji zobaczmy, co się dzieje w tych ciemnościach – zaproponowała Ola.

Jurek i skierował światło latarki w bok. Żółty stożek pomknął w nieprzejrzaną dal, nie było tam nic. Zaskoczony tym faktem, zaczął omiatać światłem przestrzeń dokoła, ale wszędzie była nieskończona czerń. Tylko pod nami znajdował się okrągły kawałek prawdziwej ziemi. Na myśl, że zegar Hieronima mógłby teraz zawieść, poczułem jak cierpnie mi skóra na plecach. Oli i Jurkowi chodziły pewnie po głowie podobne myśli, ale powstrzymaliśmy się od komentarzy. Przywarliśmy wzrokiem do wskazówek poganiając je w duchu z gorącym pragnieniem, żeby jak najszybciej mieć to wszystko za sobą. Nie uwierzycie, jak długa potrafi być minuta. Wreszcie nadeszła ta wyczekiwana, siódma, i Jurek zatrzymał stoper.

Nieprzenikniona czerń zszarzała, chwilę później z tej szarości zaczęły wyłaniać się ciemniejsze kontury drzew. Znów byliśmy w lesie. Takim prawdziwym, zielonym, pachnącym jodłą i żywicą. Na niebo świeciły gwiazdy i srebrny księżyc w pełni.

Bez trudu poznaliśmy polanę, z której niedawno wyruszyliśmy w eksperymentalną podróż w czasie. Pozostało tylko jeszcze odpowiedzieć, czy zgadza się data.

- Chyba zaraz będę całował ziemię – zawołał Jurek, ale zamiast paść na kolana, zerwał się na równe nogi. Poszliśmy jego śladem.

Zapakowałem zegar i ruszyliśmy w kierunku Leśniówki. Na naszych zegarkach dochodziła godzina piąta, ale z pewnością było wcześniej. Latem o piątej już jest widno. Jakiś czas później dotarliśmy do wsi. W niektórych oknach jeszcze świeciły się światła.

Przystanęliśmy, żeby się naradzić.

- Co proponujecie? – spytałem.

- Nie mamy wielkiego wyboru. Musimy jakoś wywołać któregoś z chłopaków i spytać, jak się sprawy mają – powiedział bez namysłu Jurek. – Najlepiej Michała.

Podeszliśmy pod dom Krzeszowskich, a ja zagwizdałem w umówiony sposób. Natychmiast okno uchyliło się i wyskoczył z niego Michał. Przebiegł przez ogródek z kwiatami i przesadził płot.

- Co się z wami działo? Pogłupieliście, czy jak? My tu umieramy ze strachu, wymyślmy kto wie jakie historie, żeby jakoś wytłumaczyć wasze zniknięcie, a wy co?

- Ile się spóźniliśmy – przerwała mu tyradę Ola.

- Jedenaście godzin.

- E, nie jest tak źle – odetchnęliśmy z ulgą.

- Owszem nie jest, ale to nasza zasługa. Nie macie pojęcia, jak musieliśmy się skręcać, żeby was jakoś wytłumaczyć. Oficjalna wersja brzmiała: pokłóciliśmy się i nic nie wiemy. Kiedy porządnie przycisnęli nas do muru, Marysia sobie „przypomniała", że słyszała jak u umawialiście się na wycieczkę, tylko niedosłyszała gdzie. Gdybyście nie wrócili do rana, zostałyby zorganizowane poszukiwania.

Nie marnotrawiąc więcej czasu wróciliśmy do swoich domów. Cała moja rodzina, nie wyłączając dziadka siedziała w kuchni przy stole i rozmawiała o nas. Wszyscy wyglądali na mocno zdenerwowanych, a Marysia nawet chlipała.

Na to, co się działo później, spuszczę wstydliwie zasłonę milczenia.

EPILOG

Już następnego dnia zebraliśmy się w moim pokoju, żeby podsumować wyniki wyprawy. Najpierw ja opowiedziałem wszystko, co przeżyłem, potem Ola i Jurek. Kiedy skończyliśmy przez dłuższą chwilę panowała cisza, wreszcie Wojtek powiedział:

- Czyli jednym słowem z eksperymentu wyszły nici.

- Wcale nie, ich przeżycia są bardzo ciekawe – stanęła w naszej obronie Marysia.

- Owszem, lecz streszczając to wszystko wyszło tak: zamiast się cofnąć, wylądowali w dalekiej przyszłości. Nie uzyskaliśmy odpowiedzi ani na jedno pytanie, które sobie postawiliśmy.

- No nie – przyznałem.

- Musimy się wybrać jeszcze raz – zaproponował Maciek. – Im więcej odbędziemy wypraw, tym więcej zgromadzimy danych, z których później wyciągniemy właściwe wnioski.

- Nie zapominaj, że zegar został uszkodzony w czasie bijatyki Adasia z Markiem – przypomniała Marysia. – Może to uszkodzenie jest takie, że teraz w jego działaniu nie ma żadnej prawidłowości? Lepiej nie ryzykujmy.

- Zwariowałaś! Mieć takie urządzenie i z niego nie korzystać? – oburzył się Maciek.

- Przygody nie są warte takiego ryzyka.

- Niemądra jesteś, im większe ryzyko, tym lepsza przygoda.

Zanosiło się na długą, dyskusję. Postanowiłem więc położyć jej kres już na samym początku.

- Na razie damy sobie spokój z podróżami w jakąkolwiek stronę. Nie poznaliśmy jesszcze wszystkich tajemnic zegara Hieronima. Jest nieprawdopodobne, żeby ktoś, kto był na tyle genialny, żeby odkryć sposób na przełamanie bariery czasu, nie znalazł sposobu, aby się tym odkryciem praktycznie posługiwać. To tak, jakby skonstruował samochód bez kierownicy. Musimy nad tym jeszcze

popracować – powiedziałem, ale w duchu pomyślałem, że poczekam, aż odwiedzi mnie sam Hieronim.